

TYGODNIK ILLUSTROWANY



SIOSTRA MIŁOSIERDZIA

Obraz, zakupiony przez komitet T. Z. S. P. do rozłosoowania w r. b.

WOJCIECH KOSSAK

Szalony tętent cwałujących koni, furja bojowa ekstatycznych czcicieli wolności, miażdżących kopytami rumaków niepodległość cudzą, piorunowy błysk szabel, wijących się, jak błyskawicowe węże, w rękach bohaterskich, a bezlitośnych, jak śmierć, ofiarnicza pogarda zgonu, splątana paradoksalnie z uwielbieniem szlachetnej pełni życia, poświęcenie nie tylko swoich istnień, ale swych uczuć i przekonań na ołtarzu symbolicznym bezgranicznego umiłowania ojczyzny — oto Somosierra!

W szary, dżdżysty, listopadowy dzień, na skinienie mocarnej dłoni tego, który wiódł tułaczę zastępy marzycielskich rycerzy północy od puszczy libijskich do Alpów podniebnych i najmoźniejszym zaklęciem: „Kraj wam wskrzeszę!“ posyłał na pewną śmierć zahypnotyzowanych glorią napoleońską Polaków, runął szwadron straceńców w ziejącą płomieniem, dymem i grozą gardziel piekielnego wąwozu Somosierry, aby tratować, kłuć, rąbać bez pamięci walczących w oblężeniu rozpaczy Hiszpanów, ciskać się żywymi ciałami na paszcze armat, usłać barwnymi trupami drogę na szczyty górskie i, stanawszy na nich skrwawioną garstką umęczonych do nieprzytomności niedobitków, zawołać cesarowi: „Hiszpania twoja!“

A gdy w szarej swej legendowej kapocie, na zielonym mundurze szaserów gwardyi, w trzyrożnym kapeluszu, z twarzą nieodgadnioną sfinksa, wjeżdżał Napoleon na białym koniu w wąż zdobytej Somosierry, otoczony kapiącym od złota sztabem, gdy orlem surowym wejrzeniem ogarnął ten kwiat młodzi polskiej, tak daleko od domowych pieleszy poległej, czy w jego genialnej głowie nie błysnęła tragiczna myśl, że oto obrońców swobody pchnął katowsko na innych jej obrońców, i że ten wielki Boży świat, rozbrzmiewający jeszcze podniosłymi hasłami Rewolucyi, zamienia znów w duszną, katorżną, beznadziejną ciemnicę więzienną?

A wtedy marmurowe lico Cezara nie ormuzdowe opływały blaski, ale grażyło się ono w ponurym, demonicznym Arymana mroku.

Ze strony Kozietulskich i Niegolewskich szarża somosierska była bezpamiętnym bohaterstwem, była złożeniem ojczyźnie wszystkiego, co jej człowiek dać może: nawet zaparcia się ogólnoludzkich idei; ze strony Bonapartego rzucenie Polaków właśnie na broniących każdej piędzi swej ziemi Hiszpanów było prosto: potworną zbrodnią!

I może już wtedy, pierwszej zaraz nocy po otwarciu drogi do

Madrytu, śniącemu o tryumfach Hannibalów i Juliuszów władcy połowy świata przerwała monarchiczny, purpurowy sen straszliwa wizja przyszłości: skalisty ostrów samotny na nieprzejrzanych wodach oceanu, a na wyspie przykuty do skały orzeł Francyi, cesarski orzeł, stu bitew zwycięzca, w kajdanach, ze spletanymi skrzydłami, z koroną, strąconą z głowy, leżącą u stóp w prochu, we łzach ludzkich i w krwi.

A trupy szwoleżerów polskich walały się w błocie, jak rzecz bezużyteczna; nie pogrzebione przez szereg dni, z twarzami, zwróconymi w niebo, wołały, zda się, krzykiem ogromnym o zmiłowanie nad ziemią, dla której miłości do takich czynów okropnych nagieśli duszę i oddali młode życie bez żalu, z radością nawet, ufni, że cudotwórcza ręka Napoleona zapali za to nad Polską słońce.

Łudzili się!

Ach, łudzili się nie oni jedni! Cały polski wiek dziewiętnasty to jeden ciąg, jeden łańcuch złudzeń, zamieniających się fatalną mocą w łańcuchy rzeczywiste, przegryzające do kości męczeńskie ciało narodu. Marzenie o Polsce Chrystusowej, Polsce na krzyżu, Odkupicielce ludów, było haszyszem dla kilku pokoleń, rozpoetyzowanych politycznie, oddających się bezwzględnie najszlachetniejszym, ale pozbawionym wszelkiej podstawy realnej mżonkom, owianym anielską mgłą mistycyzmu. Żyliśmy tylko uczuciem.

Tęsknota duszy polskiej, rwącej się do szczytnych ideałów ludzkości, anhellizm polskich serc, przepojonych melancholią tajg sybirskich i szamanowych misteryów, były trucizną, zabijającą naturalny rozwój narodu. Zdawało nam się, że jedno tylko pozostało dla Polaka: marzenie o ojczyźnie i niesienie życia swego w darze wszędzie, gdziekolwiek zawołano: walka o wolność!

Nie byliśmy nigdy egoistami. Jak dzieci nieświadome, znęcić nas można było błyskotką obietnic, jak zapalonych młodzieńców, porwały nas wielkie hasła, z których my, walcząc w ich imię, nie zyskaliśmy nigdy

nic prócz nowych udręczeń, nowych zawodów i nowego pogrążenia rzeczywistej sprawy narodowej.

Niema takich dróg na obszarach świata, na których nie leżałyby kości polskie. Widziały nas wznosząca sztandar swój gwiaździsty Ameryka, widziały Węgry, miecz kierujące w pierś ocalonej niegdyś przez husaryę polską Austrii, patrzyła na bohaterów swobody jednocząca się szczęśliwie Italia, byliśmy w zrewolucjonizowanym Berlinie, szliśmy z pieśniami wolności przez szlachetne podówczas Niemcy, a i najnowsze dzieje dorzuciłyby mogły garść skrwawionego lauru do tego smutnego, a jedyne go dziś chyba „Narodowego skarbu“.

A za to wszystko cóż? Drwiąca opinia żelaznego męża: politycy w poezyi, poeci w polityce, kilka piosenek Platena, Herwega, „ausrotten“, wywłaszczenie, knebel w ustach na własnej praocjów naszych ziemi, zapomnienie Europy o imieniu polskim, nienawiść wszystkich potęg ciemności i choroba duszy, straszliwa, tocząca nas, jak skir, choroba: smutek polski, polskie nieśmiertelne marzycielstwo.

Tak toczyła się krwawa, a jednak idealnie, cudownie piękna w swym tragizmie fala losów polskich. Jak po rodzimym cmentarzu narodowym, stąpać możemy po ziemiach świata, bo wszędzie natrafimy na grób polski, pod którym leżą zetlałe szczątki tułacza-poety-rycerza-marzyciela. Grobów tych tyle u nas i tyle gdzieindziej, że raczej pod ziemią, aniżeli na ziemi, żyjemy. Jednak czas nadszedł!

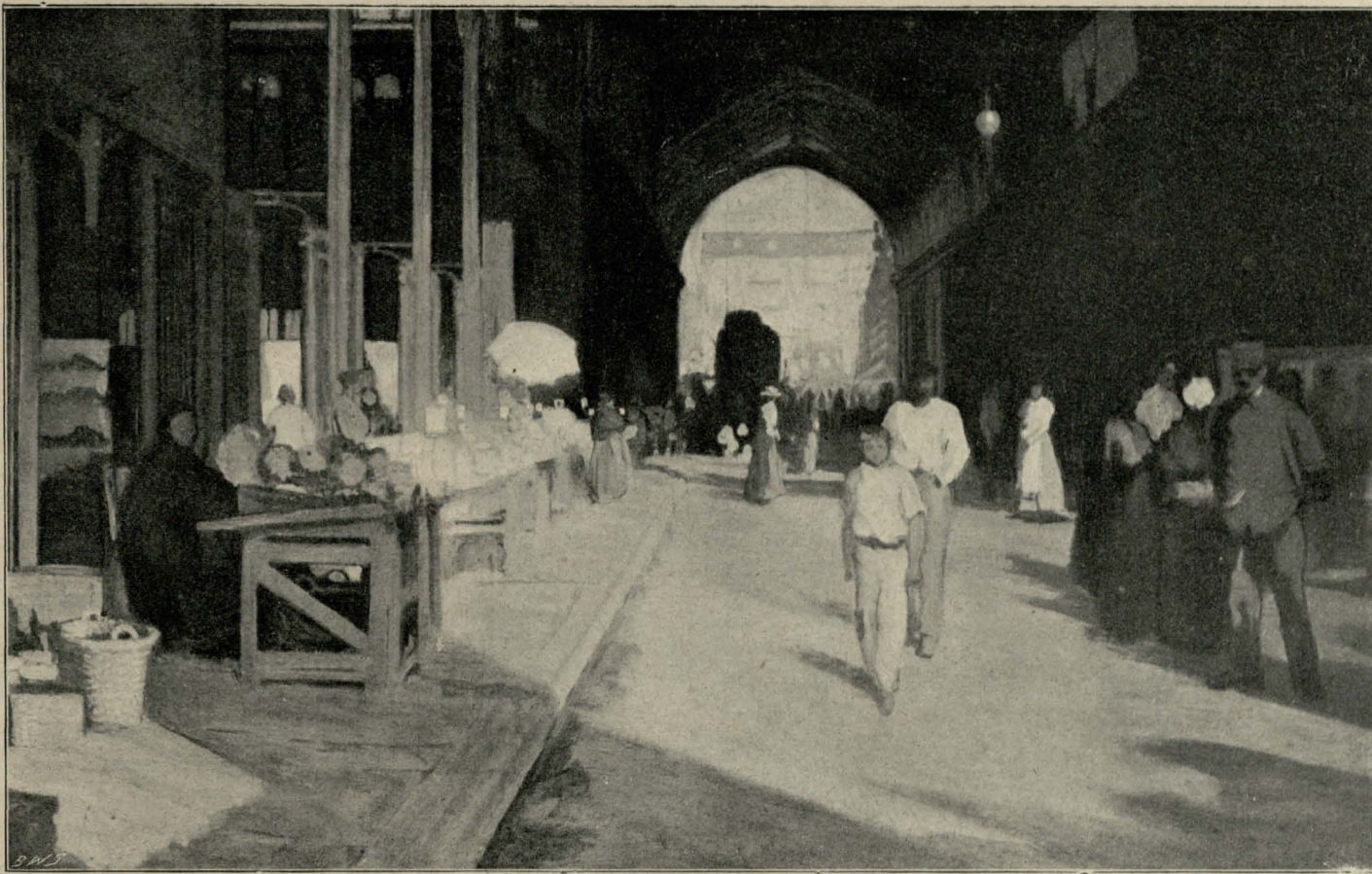
Musimy się otrząsnąć z królewskich wprawdzie, ale przegniłych łachmanów, musimy przywdziać purpurę świeżą, barwną, żywą, musimy się wyzwolić z duchowych pęt, które przytłoczyły nas do ziemi i tylko głosu trupów słuchać kazały. Ze łzami i z bólem krwawym pisać o tem trzeba, ale pisać trzeba! Wielki poeta dni naszych na całą Polskę krzyknął: „Wyzwolenie!“ Wyzwólmy się!

Nie schodźmy ustawicznie do mogił! Wyjdźmy na powietrze! na słońce! na żywy, tętniący żywiołową potęgą bytu świat!

Polska przyszłości na relikwiach grobów oprzeć się musi, ale nie powinna w grobach tych mieszkać. Znajdzie ona dość siły, aby „z żywymi naprzód iść“, podnosząc wszystkie warstwy narodu do poziomu warstw przodujących, jak to już było przed stu przeszło laty, celem Sejmu wielkiego i treścią Majowej konstytucyi.



SOMOSIERRA. Atak szwoleżerów na baterie hiszpańskie, broniące drogi do Madrytu. Fragment z panoramy, studywanej na miejscu bitwy, przez Wojciecha Kossaka.



HALE CENTRALNE W PARYŻU (z wystawy „Związku artystów” Albert Hall w Londynie)

GERALD KELLY

BOLESŁAW PRUS:

DZIECI

POWIEŚĆ.

48)

— Za krótko strzelali... — mówił jakiś brodacz do szczupłego, nieco pochylonego młodzieńca.—A jeżeli nasi rozbiegli się, to nad ranem możemy mieć kozaków...

Powoli jednak rozmowy cichnęły, ludzie zaczęli ziewać i powracać do jaskiń. Przy wejściu do jednej usiadł Kazimierz z Litwinem i zaczęli półgłosem rozmawiać o przyczynach rewolucji i o tem: jak prędko rosyjskie legiony przyjdą na pomoc polskim partyzantom?

— Jeżeli nie przyjdą—mówił Litwin—my wyginiemy, a zostaną tylko rabusie...

W tej chwili z drugiej jaskini ktoś wybiegł, zataczając się, jak pijany. Po wysokim wroście, a bardziej po niezręcznych ruchach Kazimierz poznał Starkę i dojrzał w jego ręce brauning.

— Co się stało?...—zawołał Świrski.—Dokąd biegniesz?

— Kto tu był?... gdzie poszedł?...—odpowiedział chrapliwym głosem Starka.

— Nikogo nie było...

— Łżesz...

Kazimierz zerwał się z podniesioną pięścią.

— Słuchajno... ty!... Uważaj, do kogo mówisz—krzyknął.

Litwin wydobył brauning i łagodnym ruchem skierował go do Starki.

— Niegrzeczny jest kolega-adjutant — mówił słodko. — Musi wypić cośkolwiek za dużo...

Starka podniósł lewą rękę do oczu, po-

stał chwiejąc się na nogach, wreszcie, jakby przebudzony, rzekł zupełnie innym głosem:

— Zdawało mi się, że po izbie chodził ktoś obcy... Nawet chciałem go złapać za sznur...

— Aha!... — mruknął Litwin. — Sznury spać nie dają...

— W obozie nietrudno o szpiegów... —mówił Starka.—Nie masz, Kazik, wódki?... Świrski był zdumiony.

— Tyś chory?... — zapytał Starkę już bez gniewu.

Starka ciężkim ruchem usiadł na kamieniu obok nich, ziewnął i mówił, śmiejąc się:

— W tej bandzie złodziejskiej nawet wyspać się nie można... Ledwie człowiek zamknie oczy, zaraz mu się coś marzy...

— Sznury... sznury!... — wtrącił Litwin.

W tej chwili rozległo się kilkakrotne gwizdnięcie. Partyzanci zaczęli wybiegać z jaskiń, a między drzewami ukazało się paru ludzi. To patrol przyprowadził chłopca, który opowiadał, że jedzie od szosy, gdzie Zajączkowski napadł pocztę, wiozącą wielkie pieniądze.

— I zabrał?... w którym miejscu?... ile?... dużo naszych zginęło?... — szemrali partyzanci.

Potem przybysz odszedł na bok z Dziewiątką i powiedział mu kilka słów.

— A dobrze znasz drogę?... — zapytał Dziewiątką.

— Jeszczeby zaś!...—odpowiedział przybyły.

W kwadrans później oddział maszerował ku południowi, ścieżyną wprawdzie wąską, ale równą. Świrski uczuł senność, a jednocześnie przypomniał sobie, że Zajączkowski nie napadł tego oddziału, który miał jego aresztować, ale napadł—pocztę.

„To dobrze... to bardzo dobrze“!... — pomyślał.

— Co kolega-naczelnik mówi?... — odezwał się Litwin znużonym głosem.

— Ja?... ja nic nie mówię — odparł Świrski i po chwili znowu dodał:

„Bardzo... bardzo dobrze“...

Zaczęło świtać. Kazimierzowi zdawało się, że ręce wydłużają mu się aż do ziemi i czuł nieprzyjemne klucie w oczach. Współcześnie miał chęć zapytać Litwina: co znaczą owe „sznury“... o których parę razy wspomniał Starce?... Ale nie mógł ust otworzyć. Więc znowu przypomniał sobie, że miał Litwina zapytać o Starkę; ale o co zapytać?... Potem przyszło mu na myśl, że miał kogoś zapytać o coś, ale kogo i o co?... Nagle uczuł bezdenną pustkę w głowie i ocknął się przerażony...

Było już widno. Partya wymiwała jakiś lichy mostek i zbliżała się do stogu, pokrytego śniegiem. Ludzie maszerowali z pochylonemi głowami, ciężko podnosząc nogi; na twarzy Litwina malował się rozpaczliwy smutek.



WNĘTRZE KOŚCIOŁA W CZERWIŃSKU

M. TRZEBIŃSKI

Na otwartej furcie bocznej widać t. zw. „kunę”, rodzaj obroży średniowiecznej, zakładanej na szyję skazanym na pokutę kościelną za szerzenie zgorzenia. W głębi przy ławkach widoczne również księżyc i słońce, stare zabytki, obnoszone na drzewcach podczas procesyi.

— Dolega panu co?... — spytał ze współczuciem Świrski.

— Życie, kolego-naczelniku... życie!... Nie tego człowiek się spodziewał i nie tego pragnął...

— Kto idzie?... — zawołano między krzakami wierzby.

— Nie widzisz?... — odparł Dziewiątka. A gdzie kapitan?...

— Trochę zdrzemnął się...

— To go obudź!...

Dwójki stanęły, ludzie zaczęli tupać nogami, wyprostowywać się, powstał gwar. Potem z krzaków wybiegli inni partyzanci, z których kilku miało dubeltówki, a niektórzy — karabiny z bagnetami.

— Kaziu!... gdzie jesteś?... — wołał młody głos.

— Tutaj... to wy?... — odpowiedział Świrski.

— Równaj się!... — krzyknął Dziewiątka.

Świrski stanął wyprostowany w szeregu, do którego dopadli Chrzanowski i Lisowski. Burki, a pod nimi półkożuszki, jednemu nadały wygląd ogromnego, drugiemu — barczy-

stego mężczyzny. Ale twarze mieli wychudłe i jakby odmłodzone, pomimo brudu.

— Jak się mata, chłopaki!... — wykrzyknął basem Zajązkowski.

— Niech będzie pochwalony!... Zdrowiśmy!... Jak się ma pan kapitan... — odpowiedziano z szeregu.

Zajązkowski popatrzył na swoich podwładnych z uśmiechem, poprawił karabinek na ramieniu, dotknął rewolwerów przy pasie i zbliżył się do Świrskiego.

— Dzień dobry naczelnikowi... jak się pan ma?... — rzekł, podając Świrskiemu rękę. A ciszej dodał:

„Psiakrew, nie udało się!... Wieźli sześćdziesiąt tysięcy rubli... kozaków pobiliśmy, furgon wysadziliśmy, a pocztylion, psia jego mać, wymknął się saneczkami i wykradł pieniądze. Pasy darłbym z psubrata, żebym go złapał!...”

— Kapitan musi być zmęczony?... — zapytał Świrski.

— Mnie nic, ale te kundle... — wskazał na szereg. — Gdybyśmy teraz mieli sześćdziesiąt tysięcy, mogliby ze dwa tygodnie odpo-

cząć... A nie gadać tam głośno, bo stąd niedaleko szosa... Iwanow będzie zły!... O, żebym ja tego pocztyliona dostał!...

Zbliżył się do Zajązkowskiego Dziewiątka, i obaj odeszli, żywo rozmawiając. Szereg połamał się, ludzie z obu oddziałów połączyli się i zaczęli śmiać się i witać. Świrski, Chrzanowski i Lisowski, uściskawszy się, poszli w stronę stoga.

— No, powiedzcież mi: co się z wami dzieje?... — zaczął Świrski. — Nawet nie mieliśmy czasu nagadać się...

— Już i ja zaczynam się nudzić!... — odpowiedział Lisowski, a Chrzanowski tylko ręką machnął.

— Co?... jak?... gadajcież... — nalegał Świrski.

— Czy nie widzisz sam... czy nie rozumiesz?... — odparł Chrzanowski. — Łupią monopole i kasy gminne, strzelają do bab, mordują pisarzy i wydaje im się, że to jest wojna...

— Wojna o niepodległość!... — dodał z uśmiechem Lisowski.

Świrskiemu przemknęło przez głowę, że, będąc w Leśniczówce, prawie tymi samymi wyrazami oceniał ruch obecny. Jednocześnie przypomniał sobie, że na krytykę już zapóźno.

— A nie moglibyście uwolnić się stąd?... — zapytał. — Gdyby tak pocziwemu Zającowi wsunąć parę tysięcy rubli?...

— On i za kilkaset uwolniłby nas — rzekł Chrzanowski. — Jesteśmy tu piątym kołem u wozu...

— Jesteście przecie oficerami... — wtrącił Świrski.

— Od parady — rzekł Lisowski.

— Rozkazy wydaje Kot i Dziewiątka — dorzucił Chrzanowski. — I lepiej, bo my nie potrafilibyśmy komenderować taką hołotą... — rzekł ciszej.

— Tu wszyscy nas nie cierpią... — szepnął Lisowski. — Nazywają paniczami...

— Powiedz: darmozjadami!... — poprawił Chrzanowski.

— Więc uwolnijcie się — rzekł Świrski.

— A gdzie pieniądze?... — odparł Chrzanowski. — Zając, przy dobrej wódce, może i uwolniłby nas... Ale tej hołocie trzeba czemś zapchać paszcze...

— No, jeżeli tylko o to idzie... — mówił Świrski.

W stronie szosy rozległy się dwa głuche wystrzały; Chrzanowski i Lisowski pobledli, Świrski uczył ból w sercu. Tyle lat marzył o bitwach, o śmierci z bronią w ręku... Ale bić się w tych warunkach i ginąć w tem towarzystwie wydawało mu się nieszczęściem. Spojrzawszy na kolegów, zrozumiał, że Chrzanowski i Lisowski doznają tych samych uczuć.

Partyzanci uszykowali się, lecz, po upływie kilku minut, znowu rozbili się na drobne kupki i pobiegli w stronę szosy, za Zajązkowskim. Świrski i jego dwaj koledzy z wolna posuwali się za gromadą.

Z pomiędzy krzaków wyszli na otwarte pole, skąd wybornie widać było szosę. Na szosie stał powozik w parę silnych koni; na koźle siedział Żyd furman, którego dwaj partyzanci trzymali za kark, a obok powoziku

czterech czy pięciu ludzi szarpali kogoś drugiego. Od czasu do czasu rozlegał się niby jęk, niby błaganie, któremu wtórował zirytowany głos Starki.

Do powoziku zbliżył się Zajączkowski, a Starka coś mu przekładał wrzaskliwym tonem. Potem Zajączkowski machnął ręką, człowiek szarpany zaczął wyć i ryczeć, a otaczający popychali go do drzewa.

— Oho!... oni go powieszają... — rzekł Lisowski.

— Kogo?... za co?... — spytał przerażony Świrski.

— Czy ja wiem kogo?... Zdaje się, że to jakiś Żyd, nawet w bogatym futrze...

Trzej młodzi ludzie zaczęli biedz. Nim jednak dosięgli szosy, już ktoś przerzucił sznur przez konar drzewa i jeden koniec założył na szyję Żydowi, z którego inni towarzysze zdarli futro. Żyd, człowiek ogromny, z długą szpakowatą brodą, z początku krzyczał chrapliwym głosem, lecz nagle umilkł. Miał twarz barwy woskowej, białe usta i wytrzeszczone oczy, w których malował się strach śmiertelny.

Świrski przeszedł jeszcze kilkanaście kroków i stanął obok Zajączkowskiego. Gdy zaś spojrzął na partyzanta, który założył sznur na szyję Żydowi i gotował się, ażeby pociągnąć go w górę, poznał... Starkę!... Zaszumiało mu w głowie, rzucił się naprzód i, pomimo nieopisanego wstrętu, pochwycił Starkę za ramię, wołając:

— Co ty robisz, ty... szubrawcze?...

— Odsuń się... psia!... — syknął Starka.

— Tego cię nauczyło nasze koleżeństwo, ty... podlec!... — krzyknął Świrski. Oburącz schwytał Starkę za gardło, potrząsnął i rzucił w śnieg. Napadnięty nie stawiał najmniejszego oporu.

— Chwacko!... — odezwał się Zajączkowski. — Ale dlaczego to pan naczelnik ujmuje się za szpiegiem?...

— Żyd... burżuj... sprzedał Jędrzejczaka... Jędrzejczak zginął przez niego!... — szemrali partyzanci.

Świrski przypatrzył się Żydowi i poznał Pfefermana, handlarza drzewa z miasta X. W jednej chwili przypomniał sobie historię Jędrzejczaka, którą opowiedział mu doktor Dębowski, i krzyknął:

— To nie prawda!... to człowiek niewinny... Jędrzejczaka denuncyował tajny agent i jacyś fałszywi świadkowie...

— Właśnie, że Pfeferman wydał Jędrzejczaka, a ty ujmujesz się za szpiegiem... — wychrapał zapieniony Starka, który już podniósł się.

— Łżesz!... — zawołał Chrzanowski. — Wiesz tak dobrze, jak i my, że Świrski mówi prawdę...

— Na gałąź Żyda!... ciągnijcie!... — wołano z tłumem.

— Kolega-naczelnik ma rację!... słuchajcie go!... — wrzasnął Litwin.

— Bracia!... towarzysze!... nie róbcie krzywdy niewinnym... — wołał zadyszany młodzieniec w okularach. — Nasze ręce muszą być tak czyste, jak święta jest sprawa proletariatu...

— Wieszac burżujów i tych: co się za nimi ujmują!... — krzyczano w gromadzie.



KRUCHTA KOŚCIOŁA W CZERWIŃSKU

w której po usunięciu części sklepienia uwidoczniłono kapitel romański z XII wieku.

M. TRZEBIŃSKI

Świrski obejrzał się i zawołał.

— Nie wstyd wam podejmować się obowiązku katów i jeszcze nad niewinnym człowiekiem?... Żaden prawdziwy żołnierz nie poda wam ręki, żaden oficer nie zechce wami dowodzić!... Tak postępują nie wojownicy, ale mordercy...

— Więc cóż mam robić?... — zapytał nagle Zajączkowski.

— Uwolnić tego kupca i niech sobie jedzie, dokąd chce... — odpowiedział Świrski.

Zajączkowski rozmyślał. — Szczęściem dla Pfefermana ktoś z gromady krzyknął:

— Nie można uwalniać...

Wielka twarz Zajączkowskiego posiniała. Wyciągnął brauning z za pasa i rzuciwszy się między tłum, krzyknął:

— Ja ci, psia twoja mać, pokażę: „nie można uwalniać“... Kto tu rozkazuje?... kto tu pan?... Ja pan!... ja dowódca!... Oddać, psie krwie, Żydowi futro... zdjęć postronek!... Dobrze powiedział pan naczelnik: nie hycleśmy, ino żołnierze. Siadaj, parchu, na wóz i zmykaj...

— A pieniądze?... — zapytał Dziewiątka.

— Ja nie chcę pieniędzy... — odezwał się Żyd dygocącym głosem — ja nie chcę ze-

garka... niech panom służy za fatygę... Panie Świrski... ja do śmierci panu nie zapomnę...

— A ile było pieniędzy?... — spytał zamysłony Zajączkowski.

— Bagatelka... ośmset rubli... — mówił Pfeferman. — Ten zegarek to niech pan dowódca będzie łaskaw... To jest złoty zegarek, bardzo dobry... A ten pierścionek...

Zdjął z palca drżącą ręką gruby pierścień z szafirem i, podał go Starce. Starka odepchnął Żyda i odwrócił się tyłem. Świrski teraz dopiero spostrzegł, że broda Starki ma dziwną formę, a w oczach majaczy nie-naturalny wyraz.

— To chyba waryat?... — szepnął Świrski do Chrzanowskiego.

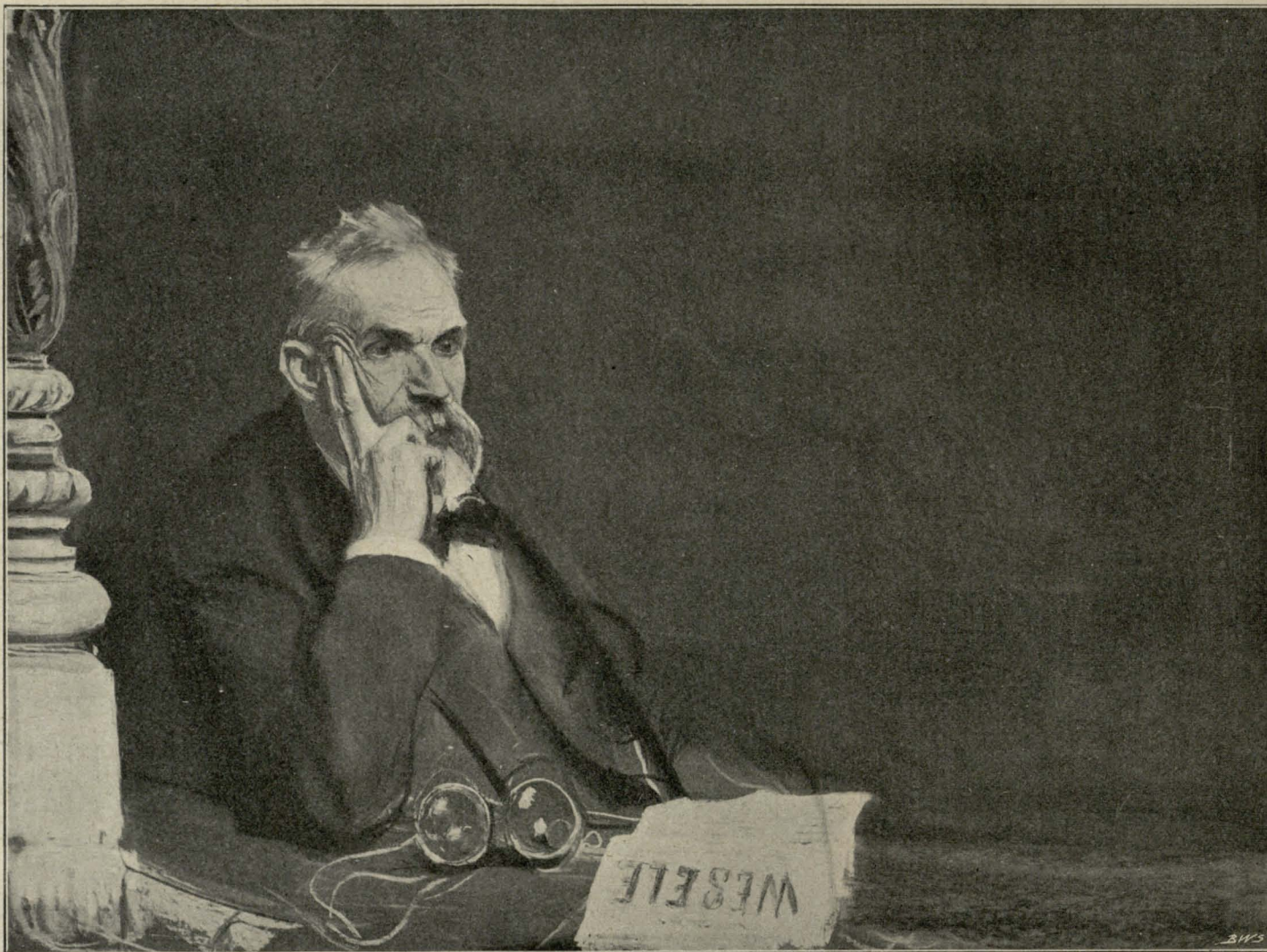
— Z pijaństwa... — odszepnął Chrzanowski.

— Ale, gdyby każdy powieszony dawał mu pierścień, Monopolka mógłby otworzyć sklep jubilerski... — dodał nie mniej cicho Lisowski.

— To on wieszca?... — zapytał przerażony Świrski.

— Ale jak!...

(DCN)



KAROL ESTREICHER W ŁOŻY TEATRU KRAKOWSKIEGO

LEON WYCZÓŁKOWSKI

GABRYELA ZAPOLSKA:

TAKA BYŁA SŁODKA!...

NOWELA.

7)

Ona na chwilę miała blask w oczach, który przyciemnił jej błękit cudnych źrenic. Jakby zmaląła i powoli wyciągnęła się, wyprostowała w swych białych, długich szatach.

— Nie?—powtórzyła bezdźwięcznie.

— Nie—podjął gorączkowo — nie, ani z panią, ani z nikim, nigdy. Mam do tego ważne powody. Daję na to słowo, bardzo ważne.

Z tych urojonych powodów wznosił barykady, za które się cofał, gotów zepchnąć wroga na śmierć, gdyby się wdzierał do jego legowiska.

Lecz wróg wdzierać się nie pragnął.

Był znów słodki, miły, łagodny.

— Myślałam—wyszeptała lekko.

— Bardzo... bardzo mi to bolesne — zaczął.

Lecz ona skinęła ręką.

— Ach! nie mówmy już. Dobrze jednak się składa, że rozmówiliśmy się, prawda?

— Tak. Tem bardziej, że ja jutro wyjeżdżam.

— A!...

— Tak. Ale ja przyjadę tam, gdzie będziesz. Zobaczymy się.

— O! nie wątpię. A teraz chodźmy do parku na podwieczorek.

Podeszła do komody i włożyła kapelus. W lustrze odbiła się jej śliczna postać.

Teraz Sadowskiemu zrobiło się dziwnie przykro. Miał ochotę zbliżyć się do tej kobiety, objąć ją, ucałować, utulić, jeśli cierpi. Lecz była dlań ciągle zagadkowa w swej prostocie i może jeszcze więcej słodka, niż dawniej, gdy zwróciła się ku niemu, kierując się do drzwi.

— No... proszę... należy się odżywiać. I z nieporównanym wdziękiem dodała:

— Ja jeszcze czuwam!

Gdy szli alejami parku, on myślał, że wolałby stokroć, aby zrobiła mu scenę, wymówki, gniewy, nawet krzyki i obelgi, niż była tak słodką, tak dobrą niewzruszenie, nawet wtedy, gdy widocznym było, iż zadał jej ciężką i bolesną ranę.

VI.

Małeńki pociąg gwizdze delikatnie, sapie, porusza się w strudze światła, jak niecierpliwym koniu, rwącym się do odjazdu.

Pasażerów mało. Ranny pociąg nie ciągnie ku sobie chorych. Wolą popołudniowy. Lecz Sadowski poprostu teraz nerwowo już nie jest w stanie dłużej pozostać w zakładzie. Cały wieczór przebyli razem z Amą.

Ona ciągle słodka, miła, łagodna, snuła się obok niego, rozmawiając o potocznych rzeczach. Tylko ręce ich nie spotkały się ani razu, a na dobranoc z uśmiechem

aniola skinęła mu głową i znikła w drzwiach swojego pokoju.

Całą noc Sadowski pakował swoje rzeczy, starając się nie myśleć o tej kobiecie, która zaimponowała mu rzeczywiście słodyczą, mocą charakteru. I gdy wczesnym rankiem kurytarzowa zastukała dyskretnie i wręczyła mu pudełeczko z torbeczką, zostawioną przez niego w pokoju Amy, doznał dziwnego ścisnienia serca.

— Pani się pyta, jak zdrowie pana i czy pan wie, że już czas na pociąg?

— Proszę podziękować. Czy pani już nie śpi?

— Pani właśnie poszła w stronę kolei.

Sadowski zamknął drzwi i obejrzał się rozpacznie.

Torebkę nieszczęsną wrzucił do kufereka i kuferek zamknął z jakąś dziką pasją.

— Muszę jechać—powtarzał sobie bezustannie, bo czuł, że ciężko mu teraz wyjeżdżać z pawilonu róż.

— Muszę.

Nałożył palto podróżne angielskie i po raz pierwszy nie przejrzał się w lustrze z zadowoleniem.

Zwykle bowiem, ubrany do podróży, wyobrażał sobie, że jest podobny do jakiegoś lorda angielskiego.

— Bo po dyabła mówiła o tym słu-



„MARZEC“ (z wystawy „Związku artystów“ Albert Hall w Londynie)

WIKTOR GILSOUL

bie—myślał, rozdzielając pieniądze na kupki.—To dla kurytarzowej, to dla numerowego, to dla portyera, to dla strzelca.

I znów wracało, jak refrain:

— Bo podyabła mówiła o tym ślubie.

Wreszcie już znieśli jego dość szykowne, drobne pakunczki.

Przechodził koło drzwi Amy. Ile razy wykradał się z nich cichutko, jak żak, lękając się spotkać asystenta lub kogo ze służby. Drzwi były zamknięte.

I, ciągle ze ściśniętym sercem, powlókł się Sadowski na kolej. Wyszedł boczną furtką, aby uniknąć pożegnań z administracją i przygodnymi znajomymi. Zdawało mu się przecież, że coś za sobą zostawia.

— Szmatał mojego życia... i może jeden z lepszych!—myślał—gdyby nie ta nieszczęsna jej mania wydania się za mnie, nie rwałbym tego tak prędko. Przecież żenić się nie mogłem. Nie sposób. Jestem już za stary, za wygodny. A potem...

Tknęło go coś w serce. Zdawało mu się, że turkocze wózek paralityka.

— Dlatego nie mogłem.

Przyśpieszył kroku.

— A może właśnie dlatego należało.

Wzruszył ramionami.

— Co znowu, jeszcze wczoraj profesor zaręczał mi, że niema mowy o tabesie. To nerwowe, zwyczajnie nerwowe. Wyrwę się stąd, z pomiędzy tego otoczenia, które ohydnie na mnie działa, podsuwając takie myśli. Wyrwę się, polecę w świat. Zapomnę.

Na peronie ujrzał Amę w białym długim palcie, bardzo szykowną i strojną, po-

mimo pozornej prostoty. Błada była tylko. Długi welon gazowy okalał jej biały, angielski kapelusz i, podniesiony nad czołem, tworzył delikatne, czarujące obramowanie.

Nigdy nie była tak prymitywna, tak da Fiesole, jak w tej chwili. Odwróciła się do Sadowskiego i podała mu rękę. W drugiej trzymała pęk białych róż, zerwanych z krzaków, pnących się po ścianach domu.

— Ach, śpieszku! śpieszku!—przemówiła z melancholijnym uśmiechem—jakże można się tak spóźnić. Oto już zamykają drzwiczki.

Sadowski ogarnął ją wzrokiem, i jakaś moc sympatii przeogromnej, jakby uśpionej w nim, wybuchnęła w jego spojrzeniu.

— Przyjadę—zaczął bardzo gorąco i bardzo szczerze.

Chciał nawet dodać:

— Jeszcze pomówimy.

Bo w tej chwili był nawet skłonny do jakichś koncesyj.

Przed tą anielską słodyczą nie miał siły i prawie kapitulował.

Ale ona przerwała mu i, nie zmieniając wyrazu twarzy, wskazała mu wagon:

— Proszę... wsiadać.

Konduktor przeleciał:

— Wsiadać!

Sadowski pocałował rękę Amy.

— Napiszę!...

Wskoczył do wagonu i zaraz na kurytarzu opuścił okienko i wychylił się przez okno. Zdawało mu się, że jakiś wróg, los nikczemny prześladuje ich i każe im się rozłączać, pomimo że żyć bez siebie nie mogą.

— Napiszę—zaczął znów gorąco.

Ona zbliżyła się do wagonu i podniosła ku niemu swą cudną, dziewiczą twarzyczkę. Oczy jej zdawały się pływać we łzach, usta okolił bolesny, słodki uśmiech.

— Nie!—wyrzekła—proszę nie przyjeżdżać, ani nie pisać. Widzi pan, dobrze się stało, że pan nie chce się ze mną żenić. Ja byłabym poszła za pana—jedynie z litości... tak, aby pana pielęgnować. Bo pan jest rzeczywiście chory, tak jak pan się lęka. Pan ma tabes. Skąd wiem? Miałam... stryja, miał te same objawy, a potem wiem jeszcze... zresztą mniejsza... Pan ma tabes.

Patrzyła na niego ciągle oczami, jak gwiazdy, i słodki, melancholijny uśmiech nie schodził jej z ust.

On oparł się o ramę okna i był trupio blady. Zdawało mu się, że nie ma ani kropli krwi pod czaszką, i że ta słodka kobieta, biała i śliczna, zemstą swoją dziewiczą otwiera przed nim piwniczne wnętrza grobu.

Pociąg wstrząsnął się, zadźwięczał łańcuchami i ruszył powoli.

— A tu róże... nasze... żeby pan o mnie pamiętał!

Rzuciła mu pęk róż, które cierniami uczepiły się o firanek okna.

Milczał.

I gdy pociąg coraz prędzej biedz zaczął, on stał ciągle jeszcze w oknie i patrzył zmartwiałym wzrokiem na słodką postać, bielącą się w obramowaniu winogrodu i płam słonecznych.

KONIEC.

Okolo bramy wschodniej panował niezwykle ruch. Pod białymi murami kupcy wędrowni rozkładali swe kramy. Sprzedawano tam kolorowe szale jedwabne, pięknie inkrustowane fajki, złote naszyjniki, szklane błyskotki na szyję i amulety przeciw złym duchom. Po roziskrzonym od słońca piasku skrzypiały przeraźliwie koła ładownych wozów, przemykały się chyżo przez tłum malowane lektyki, iskrzyły się, jak kwiaty kolorowe, turbany, białe płaszcze beduinów i welony kobiet. Półnagi żebrak zaległ w pewnym miejscu całą szerokość drogi i, wyciągając kikut obciętej ręki, krzykiem wszystko przejmującym domagał się jałmużny.

Choć już było blisko zachodu, słońce roziskrzone, ogromne zalewało cały ten rozkrzyczany, kotłujący się tłum palącymi przeraźliwie, białymi promieniami. Lecz już przed białymi murami, już w ciasnych zaułkach czały się cienie, wydłużając się i zajmując sobą coraz więcej przestrzeni, a w dali, na krańcach widnokregu, rodził się fioletowy róż pyłków słonecznych, w którym pławiła się ziemia i niebo, dalekie góry i szczyty palm. Na samym szczycie bladego nieba tułała się samotna srebrna chmura, jak szept modlitwy ludzkiej, skamieniały w locie ku niebu; już róż zachodzącego słońca wsiąkał delikatnie w rozstrzępione jej rąbki, już złotą obwódką zarysowywały się jej brzegi. Więc zdało się w pewnej chwili, że w jednostajnym, nieprzeniknionym sklepieniu niebieskim otworzył się wyłom na nieskończoność i że przez wyłom ten, jak przez złote okno, spoglądają ku ziemi figlarne, roześmiane, cudne główki, owe niezapomniane „putti“ Rafaela lub Corregia.

W pewnej chwili, w tłumie, kotłującym się wokół wschodniej bramy, rozlega się głos bębena. Uporczywy, nudny jego dźwięk wybija się ponad gwar tłumy, ponad wywoływania kupców i krzyki mulników. Wcisną się w każdą szczelinę, zapełnia sobą przestrzeń, drażni ucho monotonią. Co to? co się stało? mimowoli zwracają się wszystkie spojrzenia w stronę, skąd rozlega się ten dziwny dźwięk.

To indyjski fakir, przybysz z dalekich stron, zaprasza na przedstawienie. Na skrawku wolnej ziemi, obok ruchliwej drogi, rozłożył swój kolorowy dywan. Mały chłopczyk z podwiniętymi nogami siedzi na brzegu dywanu i uderza w bębenek. Wzrok ma spuszczonej ku ziemi. Drobne jego piąstki uderza-

ją w naciągniętą skórę bębena ze ścisłością automatu. Przez podartą koszulę przebłyskuje chude, brunatne ciało; bębenek gra, woła, drażni... obiecuje chwilę cudu i zapomnienia. A on, cudotwórca, wielki fakir, stoi na środku dywanu i martwym spojrzeniem obrzuca tłum widzów, który otoczył już dywan zwartym, ruchliwym kołem.

Z chudych ramion spada mu czerwona koszula, przepasana sznurem. Na piersi wiszą amulety. Głowa łyśca, bez jednego włoska, twarz zmięta i ascetyczna. Tłum widzów rośnie, falują turbany, zasłony, białe płaszcze... na przodzie w pierwszych szeregach widać kilka czapek angielskich. Rośnie ciekawość... wre hałas i gwar rozmowy. Dzieci obsiadły gęsto okoliczne drzewa i mury. Wreszcie fakir wyjął z małego woreczka piszczałkę i gwizdnął. W jednej chwili ucichło wszystko. Tłum z zapartym oddechem kołysze się lekko na wszystkie strony. Przedstawienie zaczyna się wreszcie.

Fakir stoi na jednym miejscu nieruchomy i jakby przyrośnięty do ziemi. A potem zwolna



Kapłan indyjski w t. zw. „Silver dance“.

poczyna się kręcić w kółko. Obroty jego są zrazu spokojne, powolne. Tłum rozróżnia jeszcze rysy twarzy, amulety na szyi, powróż około bioder. Lecz szybkość obrotów zwiększa się z każdą chwilą... zaciera się szczegóły, wszystko zlewa się w jeden ton czerwony, aż wreszcie pozostaje wrażenie jakiejś plamy, wirującej w jednym miejscu, oblanej luną zachodzącego słońca. Niepokój ogarnia tłum widzów. Wzrok nie może oderwać się od wirującej plamy, rozprężają się nerwy, działa potężna siła sugestyi. Jeszcze chwila, a cały ten milczący tłum zacznie się sam kręcić, jak szalony, na jednym miejscu. Lecz w tejże chwili fakir, jakąś nadludzką siłą powstrzymany w wirze, zatrzymuje się nagle w ciągu obrotu i stoi znów nieruchomy i jakby skamieniały w swym miejscu. Oko nie może się w pierwszej chwili przyzwyczaić do tego bezruchu. Jeszcze wiruje w oczach czerwona plama, jeszcze się zda niektórym, że fakir się kręci, jeszcze mgła snuje się w zrenicach.

Lecz oto zaczyna się właściwe przedstawie-

nie. Tąto był tylko wstęp, sposób przejścia w stan transu. Oto fakir odwiązuje sznur, opasujący mu biodra, związa go na jednym końcu w pętlę i rzuca ją całą siłą w powietrze. Rozległ się świst przerywanego powietrza, jeden koniec sznura uniósł się w górę i zaczepił się gdzieś wysoko w niewidzialnym punkcie, w stronie chmury ze złotymi rąbkami. Drugi zaś koniec sznura zawisł tuż przy ziemi i kołysze się niespokojnie, wyprężony od własnego ciężaru. I dziw, co się dzieje.

Oto fakir chwytą za sznur obu rękami, próbuje jego siły, a potem zwinnie, jak małpa, poczyna się po nim piąć w górę. Serce zamarło w piersiach widzów, wszystkie głowy podniosły się w górę. A fakir pnie się coraz wyżej i wyżej... już jest na wysokości palmy... zatrzymał się chwilę... zapewne spuścił się znów na ziemię... lecz nie... drapie się dalej... czerwona jego koszula widoczna jest stojącym nadole wyraźnie, jak na dłoni... już jest na wysokości minaretu... wygląda, jak karlik... jak duża lalka... lecz nie wraca na ziemię... dąży ku chmurom... maleje w oczach... zaciera się... lecz jest jeszcze, jest... widzą go wszyscy... wygląda, jak ptak... jak punkt czerwony... jest już przy chmurze ze złotymi rąbkami... wsiąka w wyłom, prowadzący w nieskończoność... zaciera się, znika bez śladu... A jeszcze głowy drą się w górę, jeszcze oczy dopatrują się go na chmurach... jest taka doskonała cisza w tłumie, że słychać, jak zmięte trawy, rozprostowują zwolna swe łodyżki, jak ze szczytu drzewa figowego odrywa się zwiędły liść i upada z szelestem na ziemię. W tej chwili z tyłu, za zwartym kołem widzów rozlega się skrzeczący, monotony głos:

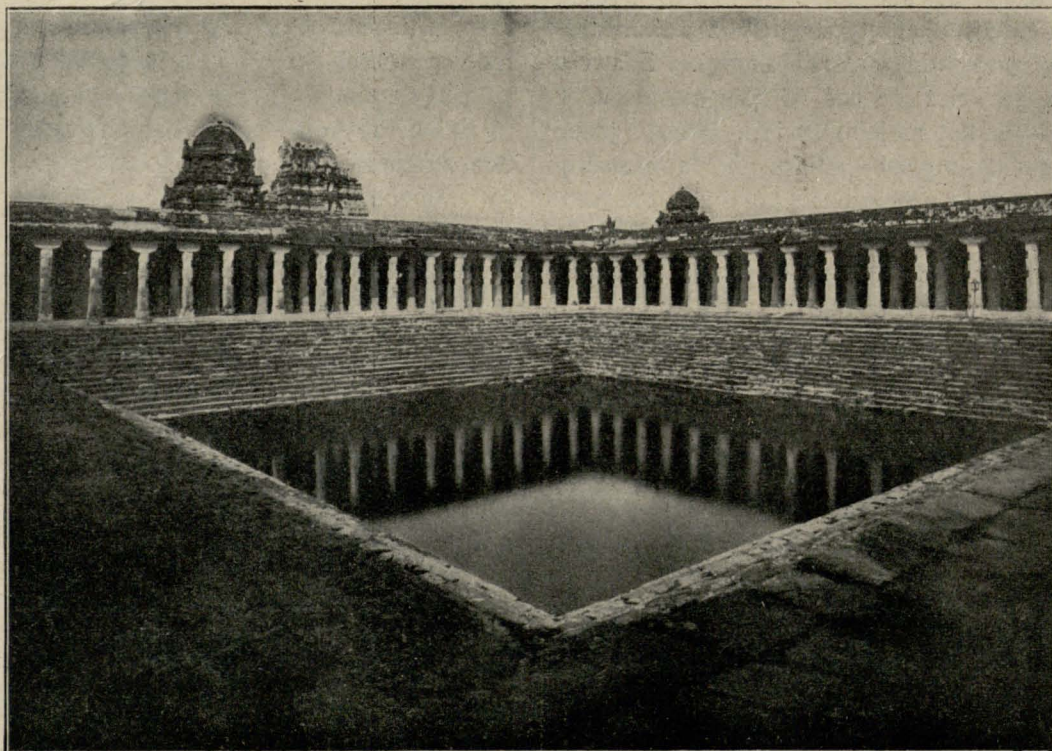
— Dobrzy ludzie! pieniędzy dla fakira, pieniędzy dla świętego człowieka!

I przez zapatrzony, skamieniały z podziwu tłum przeciska się fakir, potrząsając miedzianym talerzykiem i żebrząc:

— Pieniązek dla fakira, pieniązek dla świętego człowieka.



Indyanka z grupy muzyków.



ŚWIĄTYNIA RAMASURUM.

VIII.

Antek obzierał się za gromadą, kieby ten kot, odpędzony od miski, a rozważał, czyby nie zawrócić, lecz, widząc następujących strażników, powziął nagle jakąś myśl, bo wyłamał po drodze sporą gałąź i, wspartszy się o płot, obstrugiwał, pasując do ręki a zważając na burków, którzy, chociaż szli jak mogli najpowolniej, zrównali się z nim po krótku.

— Kajże to pan starszy, na prześpiegi? — zagadał urągliwie.

— Po służbie, panie gospodarzu, a może nam w jedną stronę, co?

— Radbym z duszy, ale widzi mi się, co nam kaj indziej drogi wypadną.

Rozejrzał się prędko, na drodze ni żywej duszy, jeno co kancelarya była jeszcze za blisko, więc ruszył z nimi, trzymając się kole płota i pilnie bacząc, bych go znagła nie obokoczyli.

Zmiarkował się starszy i dalejże pogadywać z przyjacielska i srodze wyrzekać, jako od samego rana jeszcze nic nie miał w gębie.

— Naczelnikowi pisarz nie żałował, to pewnikiem i la pana starszego ostawił jakie ochłapy. Na wsiach przeciek smaków nie postawią; cóż, kluski a kapusta, nie la takich panów — przekpiwał z rozmysłem, jaże młodszy, sielny parob o rozlatanych ślepiach, co sik zamamrotał, ale starszy nie popuścił ni słowa.

Antek się jeno prześmiechał, wyciągając coraz lepiej kulasy, że ledwie za nim nadążyli, nie bacząc już na wyboje ni kałuże. Wieś była pusta, jakby wymarła, i słońce tak wyrzała za nimi lub kajś w cieniach zabiełały dziecińskie główiny, a tylko jedne pieski przeprowadzały ich wiernie z niemałym jażgotem i docieraniem.

Starszy zakurzył papierosa i, strzyknąwszy przez zęby, jał się uzalać, jakto on nie zazna nigdy spokojnej nocy ni dnia, bo ciągiem służba i służba.

— Pewnie, co nie łączno tera wyciągnąć choćby coniebaż od chłopów...

Strażnik jeno zaklął, sięgając jaże do maci, ale Antek, że mu się to już zmierzily te kluczenia, ścisnął mocniej kijaszek i rzekł całkiem zaczepnie:

— Prawdę powiem, a to z waszej służby tyła jeno jest profitu, co się po wsiach naszczekają pieski, a jaki taki zbędzie ostatniej złotówki.

I to jeszcze starszy ścierpiał, chociaż już pozieleniał ze złości, a za pałaszem macał, ale dopiero kiej doszli ostatniej chałupy, rzucił się znagła na Antka i krzyknął kamratowi:

— Bierz go!

Żle się jednak wybrali, bo, nim poradzili go przytrzymać, odciępnął ich precz, kiej kondle, uskoczył w bok pod chałupę,

wyszczerył zęby, kiej wilk, i, trząchając kijem, zawrzał przyduszonym, urywanym głosem:

— Idźcie swoją drogą... ze mną nie wygracie... nie dam się i czterem... a kly powybijam, kiej psom. Czego chcecie ode mnie?... w niczem nie winowatym... A szukacie bitki, dobrze... zamówta se jeno przódzi podwoły na swoje kości... A podejdz który i tknij me jeno, sprobuj! — zakrzyczał, wygrażając kijem i gotów już choćby do zabijania.

Strażnicy stanęli, kiej wryci, gdyż chłop był ogromny, rozwścieklony, i kij jaże mu warczał w garściach, więc starszy, widząc, że to nie przelewki, sprobował wszystko obrócić w żart.

— Ha! ha! sławno, a to się nam udała szutka! — i, trzymając się za boki, nibyto od śmiechu, zawrócił z powrotem, ale, uszedłszy kilkanaście kroków, pogroził mu pięścią i zgola już inaczej zawrzeszczał:

— My się jeszcze zobaczymy, panie gospodarzu, i pogadamy.

— A niech cie ta przódzi zaraza spotka! — odkrzyknął na odlew. — Hale, strach go sparł, to się żartem wykręca, pogadam i ja z tobą, niech no cie jeno kaj zdybię na osobności — mruczał, bacząc, póki mu z oczów nie zesze.

— Tamten poszczuł na mnie, głupi, myślał, co me wezmą, kiej psy zajaca. To za mój opór, juści, prawda mu nie w smak — rozmyślał i, doszedłszy pod dworski ogród, kawał za wsią, przysiadł w cieniu, abych odpocząć nieco, gdyż trzął się jeszcze cały i spotniał, kiej mysz.

Przez drewniane ogrodzenie widniał biały dwór, stojący w wyniosłym zagaju modrzewi, powywierane okna czerniały, kiej jamy, a na słupiatym ganku siedziało jakieś państwo i śnać przy jadle, bo służba ciągiem się kręciła kole nich, szczękały statki, a niekiedy długi, wesoły śmiech dochodził jaż do Antka.

— Takim niezgorzej! Jedzą, piją i zároveň im wszystko — myślał, dobierając się do chleba ze serem, jaki mu była Hanka wetknęła w kieszeń.

Pojadał, wodząc oczami po wielgachnych lipach, brzeżących drogę i całych we kwiatkach i pszczelnym brzęku, słodki, sprażony w słońcu zapach przejmował go lubością; kajś ze sadzawki zakwakała kaczka i rozchodziło się senne nukanie żab, z gąszczów trzęsły się cichuskie pogłoski stworzeń przeróżnych, a na polach muzyka koników podnosiła się raz poraz i przycichała, ale po jakimś czasie jęło wszystko głuchnąć, jakby zalane słonecznym ukropem. Świat oniemiał, a co jeno było żywe, przytało się w cieniach przed pożogą, że tylko jedne jaskółki śmigaly nieustannie.

Przypołudnie kipiało już takim warem, że oczy bolały od blasków i spieki, nawet cienie parzyły, ostatnie kałuże wyschły, a do tego od zbóż prawie dojrzałych i ze spie-

czonych ugorów pociągało niekiedy, jakby z wywartego pieca.

Antek, wytchnąwszy galancie, ruszył rażno ku lasom niedalekim, ale, skoro się wysunął z cieniów na drogę, zatopioną w słońcu, jaże go ciarki przeszły i już szedł jakby przez wrzące, białawe płomienie. Zewłókl kapotę, lecz i tak koszula mu przywieriała do spotniałych boków, niby rozpalona blacha, zezuł i buciary, grzęznąc w piasku, jakby w tym gorącym popiele.

Pokręcone brzezinki, stojące kaj niekaj, nie dawały jeszcze cienia, żyta chyliły nad drogą ciężarne kłosa, i pośleple w żarach kwiaty zwisały pomdlałe.

Upalna cichość leżała w powietrzu, a nikaj nie dojrzał człowieka, ni ptaka, ni żadnego stworzenia, i nikaj nie zadrgał listek ni trawka choćby najmarniejsza, jakby w oną godzinę Południca zwała się na świat i wysysała spieczonemi wargami wszystką moc ze ziemi omglałej.

Antek szedł coraz wolniej, rozmyślając o zebraniu, że raz wraz porywały go złości, to śmiech spierał, to przejmowało zniechęcenie.

— I poradź co z takimi! Bele strażnika się ulękną... jakby im przykazali posłuchać naczelnikowego bata, toby go słuchali. Barany juchy, barany! — myślał z politowaniem i złością. — Prawda, że każdemu źle, kaźden wije się, kieby nadeptany piskorz, i kaźden ledwie już z biedy zipie, to gdzie im się ta kłopotać o takie sprawy. Naród ciemny i zabiedzony, to nawet i nie miarkuje, co mu potra — zafrasował się wielce za wszystkich i serdecznie zatroskał.

— Człowiek to jak świnia, niełączno mu ryja unieść do słońca.

Głowił się i wzdychał, a tyła mu jeno przyszło z tych rozważań i turbacyi, że poczuł, jako i jemu jest źle, a może nawet gorzej, niżli drugim.

— Bo jeno tym dobrze, które o niczem nie mają pomyslenia!

Machnął ręką i szedł tak srodze zadeliberowany, że omal nie wlaź na Żyda szmaciarza, siedzącego pod zbożem.

— Ustaliście, juści taki gorąc — ozwał się pierwszy, przystając nieco.

— To jest piec, to jest Boskie skarcie, a nie gorąc — wybuchnął Żyd i, powstawszy, założył szleje na stary, przygarbiony kark, przypiął się do taczki, niby pijawka, pchając ją przed sobą z niezmiernym wysiłkiem, gdyż była naładowana workami gałanów i drewnianymi pudłami, a na nich stał jeszcze kosz jaj i klatka z kurczętami, zaś w dodatku droga była piaszczysta i srogie upało, to, chociaż się wydierał ze sił do ostatka i szarpał, a co trochę musiał odpoczywać.

— Nuchim, ty się spóźnisz na szabes! — upominał się płaczliwie. — Nuchim, ty pchaj, ty jesteś mocny, jak kuń! — mamrotał zachęliwie — Nuchim, nu, raz... dwa... trzy... —

i rzucał się na taczki z krzykiem rozpacz, pchał ją kilkanaście kroków i znowu stawał.

Antek skinął mu głową i przeszedł, ale Żyd zawołał błagalnie:

— Pomóście, panie gospodarzu, dobrze zapłacę, już nie mogę, już całkiem nie mogę—opadł na taczki, blade, kiej trup, i ledwie dyszący.

Antek zawrócił bez słowa, zwałił na taczki kapotę i buty, ujął je krzepko i pchał tak wartko, jaże koło zapiszczało i kurz się podniósł, Żyd dreptał pobok, łapiąc powietrze zadyszana piersią, i gadał zachętliwie:

— Tylko do lasu, tam dobra droga, już niedaleko, dam wam całą dziesiątkę.

— Wsadź se ją w nos! Głupi, stoję to o twoją dziesiątkę! No, jak to te Żydy myślą, że wszystko na świecie jeno za pieniądze.

— Nie gniewajcie się, to ja dam śliczne kuraski la dzieci, nie? to może nici, igły, jakie wstążki? Nie! Może być bułki, karmelki, obaranki albo jeszcze co? Ja mam wszystko. A może pan gospodarz kupi paczkę tytoniu? A może dać kieliszek fajnej gorzałki? Ja mam dla siebie, ale po znajomości. Na moje sumienie, tylko po znajomości!

Zakaszał się, jaże mu ślepie na wierzch wylazły, a kiej Antek zwolnił nieco kroku, chycił się taczek i włócił się, poglądając nań łzawie.

— Będzie dobry urodzaj, żyto już spadło—zaczął z innej beczki.

— A jak nie urodzi, też mniej płacę. Zawdy na stratę gospodarzom.

— Piękny czas dał Pan Bóg, ziarno już suche—kruszył kłosa i pojadał.

— Juści, tak se folguje Pan Jezus, co już jęczmiona przepadły.

Pogadywali zwolna o tem i owem, aż zeszło na zebranie, o którym Żyd wiedział, bo rzekł, rozglądając się trwożliwie dokoła:

— Wiecie, jeszcze zimą naczelnik zrobił kontrakt z jednym majstrom na postawienie szkoły w Lipcach. Mój zięć im faktorował.

— Jeszcze zimą? Przed uchwałą? Co wy też powiadacie?

— Może się miał pytać o pozwolenie? Czy to on nie dziedzic na swój powiat? Czy to on nie potrzebuje zarobić?

Antek jął rozpytywać gorączkowo, gdyż Żyd wiedział różne ciekawe rzeczy i rad odpowiadał, zaś w końcu rzekł pobłażliwie:

— Tak musi być. Gospodarz żyje z tej ziemi, kupiec z handlu, dziedzic z folwarku, ksiądz z parafii, a urzędnik ze wszystkich. Tak musi być i tak jest dobrze, bo każdy potrzebuje trochę żyć. Czy nie prawda?

— Widzi mi się, co nie o to idzie, aby jeden drugiego łupił ze skóry, a jeno, bych każdy żył sprawiedliwie, jak Pan Bóg przykazał.

— Co na to poradzić? każdy żyje, jak może.

— Ja wiem, że każdy sobie rzepkę skrobie, ale i bez to jest źle.

Żyd jeno głową pokiwał, ale swoje myślał.

Doszli właśnie lasu i twardszej drogi, Antek odstawił taczki, kupił za całą złotów-

kę cukierków la dzieci, a kiej mu Żyd jął dziękować, burknął:

— Głupiś, pomogłem ci, bo mi się tak spodobało.

Ruszył ostro ku Lipcom, błogi chłód go ogarnął, rozłożyste drzewa tak przysłaniały drogę, że jeno środkiem widniał pas nieba, zaś po ziemi skrzyła się rozmigotana rzeka słońca. Bór był stary i wyniosły, dęby, sosny i brzozy tłoczyły się gęstą, pomieszaną ciźbą, a dołem tulił się do grubachnych pni drobny naród leszczyn, osik, jałowców i grabów, zaś miejscami świerkowe zagaje rozpychały się hardo, pnąc się chciwie ku słońcu.

Na drodze jeszcze gęsto połyskiwały kałuże po wczorajszej burzy, i walały się połamane wierzchoły i gałęzie, a kaj niekaj smukła drzewina, wyrwana z korzeniami, zalegała wpoprzek, kiej trup. Cichusko było, rzeźwo i mroczno, pachniało pleśnią a grzybem, drzewa stały bez ruchu, jakby zapatrzone w niebo, a przez zwarte korony jeno gdzieniegdzie przedzierało się słońce, pełzając, niby te złociste pająki, po mchach oroszonych, po czerwonych jagódkach, rozspanych, jak stężące krople krwi, po trawach bladech.

Antka tak rozebrał chłód i głęboki spokój lasu, że, przysiadłszy kajś pod drzewem, zdrzemał się niechęć. Przebudził go dopiero koński tupot i parskanie, a dojrawszy dziedzica, jadącego konno, podszedł do niego.

Przywitali się zwyczajnie, po sąsiedzku.

— Ależ to piecze, co?—zagadał dziedzic, głaszcząc niespokojną klacz.

— A dopieka, za jaki tydzień trza będzie wychodzić z kosą.

— Na Modlickiem kładą już żyto, aż miło.

— Tam piachy, ale latoś wszędy zniwa rychlejsze.

GDYBY SIĘ NASZE SPLOTŁY DŁONIE...

Gdyby się nasze splotły dłonie
w wiecznej braterskiej dusz przyjaźni,
szedłbym tak z tobą—jaźni twej jaźni—
w czystych błękitów jasne tonie,
sławiąc dni życia w szczęścia hymnie,
gdym ty zawsze była przy mnie...

Gdyby się nasze splotły dłonie,
w jeden łączące dwa snów światy,
szedłbym tak z tobą poprzez kwiaty,
pijąc rozkoszy cudne wonie,
gubiąc wzrok w kwietnych barw ozdobie,
gdym cię wiecznie czuł przy sobie...

Gdyby się nasze splotły dłonie
w jedno tęskniących serc marzenie,
szedłbym tak z tobą w zapomnienie,
kiedy już żadna z gwiazd nie płonie,
kiedy się oko łzą nie prószy,
gdym tęsknotą był twej duszy...

ZYGMUNT MICHAŁOWSKI.

Dziedzic zapytał go o zebranie w kancelarii, a usłyszawszy wszystko, jak się odbywało, jaże oczy szeroko otworzył ze zdumienia.

— I wyście się tak głośno, otwarcie o polską szkołę upominali?

— Rzekłem, przeciek nie robię z gęby cholewy.

— A żeście się to wazyli z tem wystąpić przy naczelniku, no, no!

— W ustawie stoi o tem, jak wół, to prawo miałem.

— Ale skąd wam przyszło do głowy upominać się o polską szkołę?

— Skąd! Przecieśma Polaki, a nie Niemcy, czy to jakie drugie.

— Któż to was tak namówił?—pytał ciszszej, pochylając się ku niemu.

— Dzieci też i bez nauczyciela przychodzą do rozumu—odrzekł wykrętnie.

— Widzę, że Roch nie napróżno kręci się po wsiach—ciągnął tak samo.

— A wespół z panowym stryjaszkiem, jak mogą, tak naród nauczają.

Wtrącił z naciskiem, patrząc mu bystro w oczy, dziedzic zakręcił się jakoś niespokojnie, zagadując o czem innym, ale Antek z rozmysłem wracał do tej sprawy i do różnych chłopskich bolączek, wyrzekając ciągiem na ciemnotę i opuszczenie, w jakim naród żyje.

— A bo nikogo nie słuchają! Wiem przecież, jak księża pracują nad nimi, jak nawołują do pracy, ale to wszystko groch na ścianę.

— Hale, kazaniem tyle pomoże, co umarłemu kadzidłem.

— Więc czemu? Zmądrzałeś, widzę, w kryminale—rzucił z przekąsem, aż Antek poczerwieniał, łypnął ślepiami, ale odrzekł spokojnie:

— A zmądrzałem, bo wiem, że wszystkim złemu winni panowie.

— DUBY smalone pleciesz, a cóż ci to złego zrobili?

— A to, że za polskich czasów tyle jeno dbali o naród, żeby go batem popędzać i ciemiężyć, a sami se tak balowali, jaże i przebalowali cały naród, że tera wszystko trza zaczynać od początku, na nowo.

Dziedzic, że to był prędko, ozgniewał się i krzyknął:

— A wara ci, chamie jeden, do tego, co panowie robili, pilnuj lepiej gnoju i wideł, rozumiesz! A język trzymaj za zębami, by ci go nie przycięli!

Świsnął szpicrutą i pognał, jaże w klaczy zagrała wątroba.

Antek zaś poszedł w swoją stronę, a również zły i wzburzony.

— Psie nasienie!—mamrotał gniewnie.—Jaśnie pany, psiekrwie! Jak mu było potrza chłopskiej łaski, to z każdym się bratał. Ścierwo, sam nie wart i wszy pieczonej, a drugich przeżywa od chamów!—srożył się, kopiąc ze złości muchary, stojące mu na drodze.

Już wychodził z lasu na topolową, gdy naraz posłyszał jakby znajome głosy, rozejrzał się uważnie: pod krzyżem tuliła się w cieniu brzózek jakaś bryka zakurzona, zaś na kraju boru stał Jasio organistów z Jagusią.

(DCN)



LORD STRAFFORD

P. DELAROCHE



DZIECI EDWARDA

P. DELAROCHE

A. NOWACZYŃSKI:

L O N D Y N .

II.

W tej pustyni domów, liczącej sobie w średnicy 53 kilometry, niezbyt są liczne dla oka oazy starej architektury monumentalnej, przynależnej rasie. Te atoli, które są, które ocalały przed utylitarnością kramarskiego obudowywania się, te są zarazem i kluczami historycznymi, otwierającymi tajemnice wielkich doczesnych sukcesów Anglosasów. Sędziwe, omszałe i zgrzybiałe dokumenty ciosowe wieków średnich sprawiają wprost niewysłowioną ulgę oku swem dumnie wzgardliwym odseparowaniem się od tych krocisk i rojowisk domów, sklepów, od stóp do głów oblepionych pstremi wstęgami wrzeszczącego w niebogłosy reklamiarstwa. Nie można mieć wyobrażenia, do jakiego stopnia nowoczesna reklama zohydziła fizyognomię miast, jeżeli się nie widziało, do czego doszła i tak jeszcze hamowana orgia anonsów i plakatów nad Tamizą.

Wprost wzdycha się tutaj do jakiegoś przepięknego satrapy, któryby pewnego dnia wiosennego za jednym ukazem zniósł odrazu wszystkie napisy i wszystkie cyfry z ulic; wrażeń byłoby czarodziejskie... jeno orientacja i komunikowanie się nieco... utrudnione, a raczej kompletnie sparaliżowane. Tubylcy oczywiście ani jednym spojrzeniem nie raczą tych drukowanych wrzasków ogłoszeniowych, ale dla forestiera, wytrzeszczającego gały nieumiejętnie, niektóre z tych „Pears-Soapów“, „Bowrilów“, „Onoto“, „Svan-Vestas“ stają się formalną torturą.

Trzy gmachy starego Londynu symbolizują i tłómaczą najplastyczniej psychikę wielkobrańską, otwierając dla zakusów historyzofii szerokie aspekta: to Tower, westminsterska halla i westminsterskie opactwo. W tych trzech monumentach najzamierchlejszej przeszłości ma się rozwiązanie przewielu dręczących pytań, jakie się wyłaniały ustawicznie na widok tak bezprzykładnego w dziejach ludzkości bezmiaru potęgi i tak oszalałającego nagromadzenia skarbów i bogactw.

Bardzo rozsądnie jest, wchłonawszy przez kilka dni rozgwy wyteżonego do ostatnich granic życia handlowego, mając w uszach reminiscencje olbrzymich cyfr i sum i olbrzymich szumów i hałasów metropolii, w oczach obrazy ulic przepelnionych, wewnątrz banków, ruchy giełd, luksusu sklepów, mostów, czerniących się mrowiem, podziemi gwarnych i jasnych, jednym słowem, mając w głowie chaos wrażeń niezwykle płamnych i ruchliwie gorączkowych, dla antytezy cały dzień zno-

wu przepędzać w zimnych, grubych, ciemnych, a nie-tykalnych murach któregoś ze starych gniazd geniuszu imperyalistycznego Anglosasów.

Oto jak tu byt doczesny nie brano ni żartobliwie, ni jako szybkie przemijanie się przez rękawiczki sentymentalizmu. W pobliżu spokojnej, ujętej w sznurówkę granitowego embarkementu Tamizy wznosi się za słynnym London-Bridgem niezbyt wysoko grunt pagórkowaty, na którym za Wilhelma Zdobywcy zbudowano cytadelę. Szeroko i zuchwale rozparły się masywne mury normandzkiej Bastylli; trzynaście wież różnokształtnych tu i owdzie wyłania się z zębówisk nieprześląganego omurowania. U bram stróżują dziś jeszcze, jak wieków temu pięć, jednakowo ubrani olbrzymowie Yeomeni w czerwonych sukmanach z szerokimi czarnymi kapeluszami, z halabardziskami w łapach, dziś jeszcze, jak lat temu czterysta, paszcze armat, wyszczerzone ku Tamizie, tkwią we flankach. Tower ma jeszcze charakter aktywnej twierdzy pod komendą gubernatora constabla.

Rzymski mur ciosowy Cezarowej osady Londinium daje fundament materialny i symboliczny tego fortu normandzkiego, w którym cały kompleks budynków tworzy jednolitą w swej różnorodności, a posępną grozą przygniatającą całość. Każda cegła Toweru jest jedną kartą historii angielskiej, a niema cegły w Towerze, na którąby w ciągu wieków nie padła choć jedna kropla krwi ludzkiej.



RYSZARD III.

Od tych widmowych, surowych gmachów kastelu londyńskiego idzie zapach krwi, jak z rąk lady Makbet, choć tu już tylko arsenał muzealny, baterie armat jakby dla decorum, garnizon cytadeli szlachetnie próżniaczący, a z wązkich okien wież nie słychać jęków i przekleństw więzionych. Dziś tu spokojnie i snobistycznie. Łażą gromadami figury z pod różnych ciemnych gwiazd, a rumiane *interpretery* w kiepskiej dykcji nieuświadomionych matolek opowiadają objaśniające szczegóły, z których w każdym tkwi potężna tradycja i śmiercią tylko rozwiązalne konflikty narodowo-psychiczne. Biała wieża izolowana w środku jest sercem tej twierdzy, w której nie wolno było sercu ani na moment przychodzić do głosu. Tu oto w tym gmachu geniusz opiekuńczy rasy kazał więzić i unicestwić takie jednostki, których spokój, szczęście czy ocalenie mogło być z czasem unieszczęśliwić, zgubić lub naruszyć spokój całego organizmu rasowego. Tu wycinano wrzody rozbującej indywidualnej samowoli. Tu usuwano opętane niespokojem dusze. Tu przykładnie tępiono niewczesne wybuchy wolnością się maskującej swywoli.

Chodzi się dziś od bram do bram po tych dusznych kłatkach schodowych wieżyc, po ciasnych podwórzach tego Wawelu wielkobrańskiego spokojnie, w całkowitej ekskluzywności ducha i pozwalając swobodnie rozumowi przemawiać w obronie najsurowszych, najokrutniejszych orzeczeń i wyroków, o ile tych domagało się „suprema lex salus Britanniae“. Tu ferował wyroki śmierci naród, który swej istności nie miał zamiaru przerwodzić, nie prezentyzować, nie przebrać, ni przepić.

W tych przeklętych celach tak niskich, że człowiek rozprostować się nie mógł, a tak szczupłych, że i dwóch kroków nie zrobił, siadywali szlachetni lordowie po siedem lat! Kto tą bramą i tym kanałem wodnym tu przybywał, ten wiedział, że już świata Bożego nie ujrzy. Na tym placu padły na kamienie piękne głowy: lady Joanny Gray i królowej Anny Boleyn i tej upoetyzowanej Mary z rodu Stuartów. W tej celi ponurej dwadzieścia lat siedział Walter Raleigh, kochanek Elżbiety, i tu pisał w czas naszego rokoszu Zebrzydowski swoją „Historię Świata“.

W tej wieży zamordowano króla Henryka VI, a w tamtej wieży uduszono synów Edwarda IV, w tej znowu utopiono w beczce brata Edwarda VI.

Są jeszcze ściany, obdrapane rozpaczliwymi „condemned cells“, szarpaniami kurczawymi tych nie-szczęśliwych skazańców. Gdzieniedzie ciężkie kute drzwi otwierają się do wąskich, ciemnych, jak niebyt, krużganków i kurytarzy. Od stąpań ludzkich idą w pogłosy głucho ściany, zle i tajemnicze. Lęk ogarnia czasem jeszcze i dzisiaj, kiedy się w murowanym grobie kaźni o 14-stopowej grubości murów zostanie na moment samym, a na ścianie widzi ryte czemś ostrem dokoła: L. A. R 6. L. A. R 6.: lord Arundel hrabia Norfolku, lat 6, sześć, w takiej jamie wilgnej on szlachetny, wykwinny, delikatny, a zuchwały wielki pan.

Nie, tu życie nie znało ni pardonu, ni figlowania. Tu hrabia Salisbury był przykuty do ściany za ręce i nogi, tu w Bell-Tower księżniczka Elżbieta, nim została najstłanniejszą monarchinią świata, nocie bezsenne trawiła więziona, tu znowu Karol I z rodziny Stuart na tem wązkiem podwórzu ostatni raz rzucił okiem w niebieski kwadrat nieba, nim z życiem się rozstał. A w tej jeszcze Wackefieldzkiej wieży, gdzie teraz w sali wielkiej w szafie oszklonej, żelaznym płotem i kratą siatkowaną otoczonej, leżą insygnia koronne, stos bereł, klejnotów i dyamentów wartości 40 milionów rubli, w tej sali jeszcze jeden król Henryk VI bez własnej woli musiał żegnać się z życiem.

Gdy się znowu starym kamiennym mostem wychodzi z tego pięciokątnego szarego i czerwonego zamku śmierci, mimowoli w myśli nasuwa się krakowski Wawel, słowiańsko-łagodny Wawel. Choć bowiem katedra Towerowi pokrewna jest w innej stronie miasta i choć te gmachy fortu gościły królów tylko w charakterze więźniów, to jednakże jest pewne podobieństwo między nadmorskim normandzkim fortem a nadwiślańskim wysokim zamkiem, przez Czechów założonym, a przez lud Polan w strachu Babelem nazwanym. Ale ani jednej niema wieży na Wawelu, któraby cośkolwiek podobnego przeżyła, co Bloody, czy Bell, czy Bowyer Tower. Nie ścinano tu złych ni nieudolnych królów, nie więziono zuchwałych lordów za *liberum veto*, nie karano zbyt swywołnych dam. W jednej zaledwie sandomierskiej wieży *skazano na gardle mieszczanków za zabicie magnata* Andr. Tęczyńskiego *).

To też wszystkie gałęzie drzewa wolności rosły sobie bujnie i dziko, stróż-geniusz dobra publicznego nie skracał o głowy zbyt rosochatych i pasorzytnych gałęzi; aż i padło samo drzewo pod trzema toporami. Tu, w Towerze, na tem cmentarzystku koło kaplicy św. Piotra, gdzie pod ziemią tyle szlachetnych czaszek leży, tyle istnień, zerwanych raptownie z rozkazu samozachowawczego instynktu narodu, tu, spoczawczy na kamiennej ławeczce, widzi się dopiero, że ten naród męski i dojrzały musiał stworzyć i największe państwo, i jego wyraz artystyczny, najpotężniejszy dramat Elżbietański.

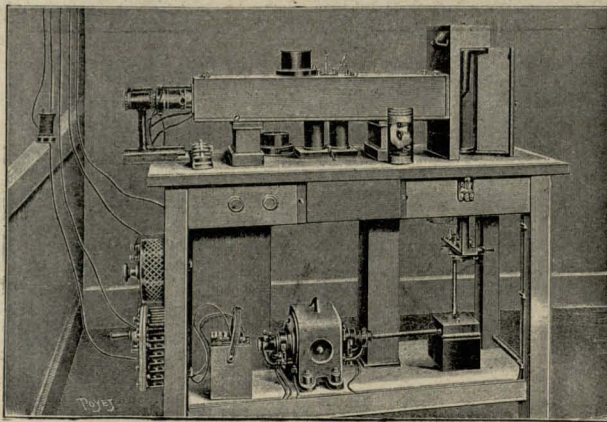
Naprzeciwko tego to Toweru w pobliżu kościoła Wszystkich Świętych na Barking, jest też dom stary o dziwnej tradycji. Zowie się: Czars Hear. W tem domu była niegdyś knajpa piwna, tem tylko sławna, że w niej godzinami wysiadywał tajemniczy cudzoziemiec: Car Piotr. Tu przez okno tej tawerny, tak może podobnej do tenierowskich, czy ostadowskich spelunek, wpatrywał się w wojskowe życie Toweru przyszły budowniczy Rosyi, przypatrywał i kształcił. Kształcił, jako cieśla zwykły, okrętowy, wtedy właśnie, kiedy w Polsce za króla Sasa całkiem już popuszczano pasa, a wielcy panowie, pierwszy raz dopuszczeni na dwory drezdeński i wersalski, starali się ćmić wzajem szychem wystawności, „polerunkiem“ i w puharów wlewaniu „constancyą niezmożoną“... (DN)

*) Co pobił płatnerza Klimunta.

FALA FOTOTELEGRAFU.

— Dziwne ilustracje! — pomyśli czytelnik, przyglądając się obrazkom, dołączonym do tego artykułku.

Z jakiego powodu, naprzykład, ta ładna panna o rysach, zdaje się, delikatnych, ma twarz tak okropnie pokiereszowaną? Co znaczą dziwaczne punkciki, poza



Przyrząd prof. Korna.

którymi ukrywa się dyplomatycznie twarz prezesa ministrów francuskich, p. Clemenceau, albo pasma dośrodkowe, rozrzucone promieniami na portrecie przyszłego sułtana Maroka, zręcznego Muleja Hafida?

Są to wszystko ciekawe próbki fototelegramów. Przesyłanych niemal codziennie przez znany tygodnik paryski *Illustration* dziennikowi londyńskiemu *Daily Mirror* i odwrotnie. Pomiędzy bowiem obu temi pismami istnieje doskonale zorganizowana wymiana fotografii drogą telegraficzną za pomocą przyrządu uczonego niemieckiego, prof. Korna.

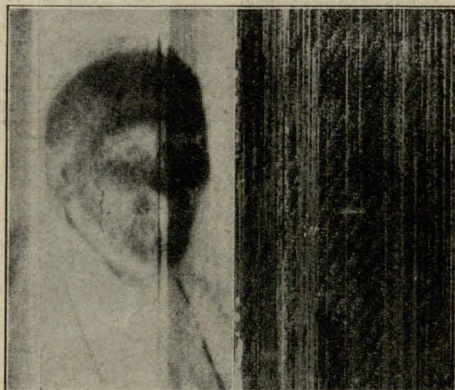
W ciągu 2 godzin każdej nocy nowy ten sposób przesyłania wiadomości reporterskich zajmuje linię telegraficzną, łączącą Paryż z Londynem, dostarczając pismom zainteresowanym oprócz tekstu także ilustracji aktualnych.

Przyrząd prof. Korna działa obecnie doskonale i kopiuje na odległość fotografie bardzo dokładnie, pod warunkiem wszakże, aby linia telegraficzna, czy też telefoniczna, po której fototelegramy są przesyłane, znajdowała się w stanie dobrym.

Nie zawsze jednak jest to możliwe. Kto tylko telefonował kilkakrotnie na wielkie odległości, ten bez wątpienia wie o tem z własnego doświadczenia.

Załączone tu fotografie przesłane były z Paryża do Londynu drogą powyżej wymienioną i wskazują dokładnie wady linii lub też obsługi podczas wędrówki fototelegramów po drucie.

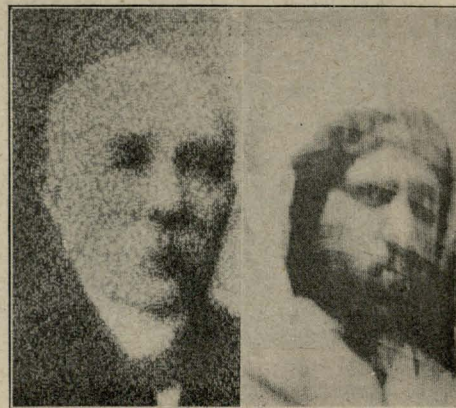
Przesyłanie obrazka trwa zwykle 20 minut. Nicierpliwej, jak zwykle, telefonistce, obsługującej linię



Fototelegramy zupełnie zepsute.

Paryż-Londyn, czas ten wydaje się czasem niezmiernie długim, przerywa więc nagle komunikację, a skutki tego rozdrażnienia uwidocznione są wyraźnie w załączonym portrecie kobiecym pod postacią ostrych linii czarnych, krótszych lub dłuższych, odpowiednio do czasu trwania przerwy i powołania telefonistki do porządku.

Zdarza się też często, że linie telefoniczne, łą-



Wpływ depesz telegraficznych na fototelegramy.

czące punkty bardzo od siebie oddalone, ulegają wpływowi równoległe do nich biegnących linii telegraficznych. Wytwarza się wówczas to, co fachowcy nazywają „fryturą“. Osoby, używające telefonu, znają dobrze ten szmer nieprzyjemny.

Jeżeli drut telefoniczny podlega temu wpływowi



Skutki niecierpliwości telegrafistki.



Fototelegram udany.

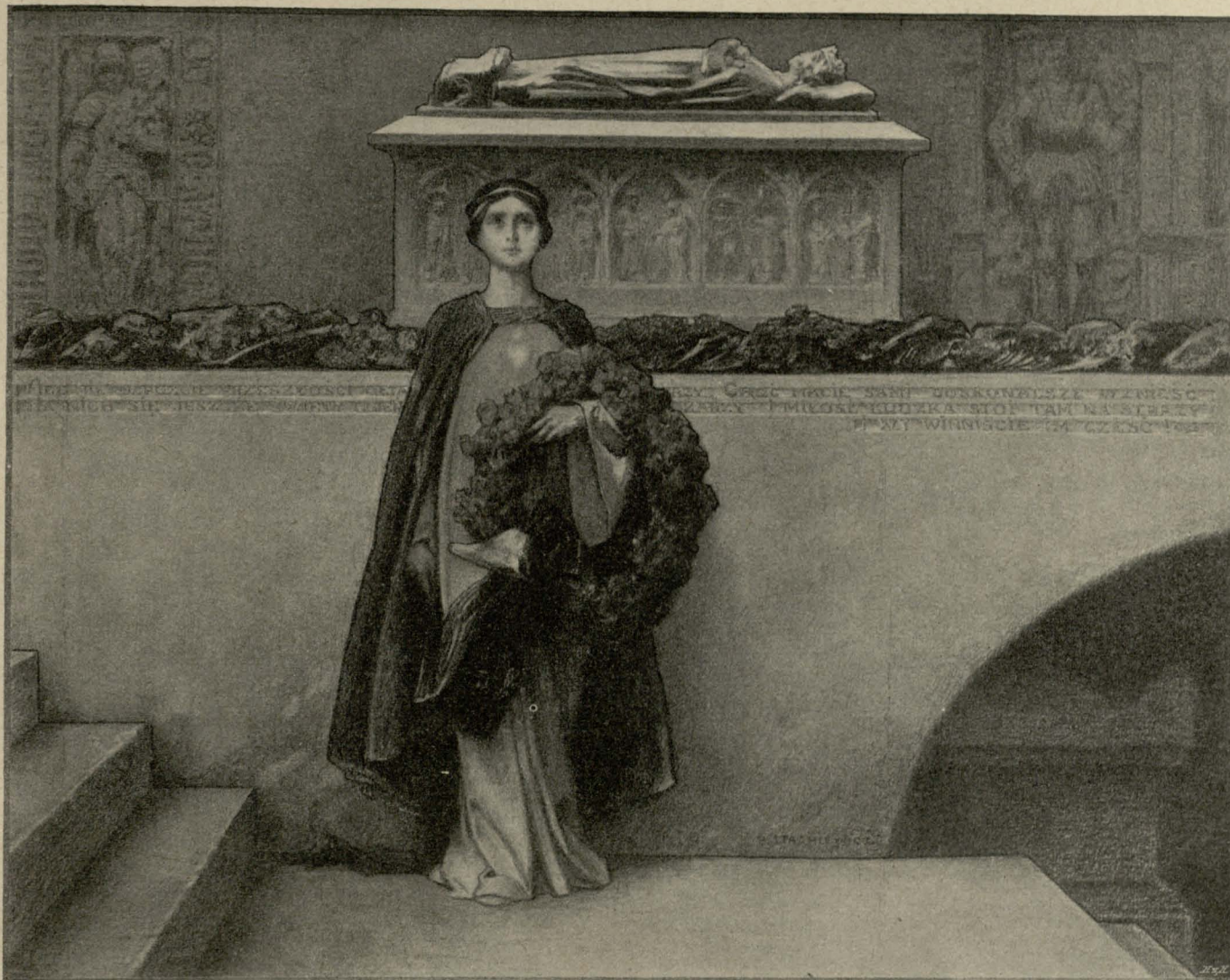
iskier telegraficznych w chwili przesyłania po nim fototelegramu, to wpływ ten ujawnia się natychmiast na stacy odbierającej—i otrzymujemy fotografie zepsute.

Punciki, naprzykład, i kreski, pokrywające fotografię p. Clemenceau, są niczem innym, jak tylko odbiciem depeszy telegraficznej, przesyłanej po drucie sąsiednim alfabetem Morse'a, na twarzy zaś Muleja Hafida znaczą skutki depeszy, przesyłanej aparatem Baudota.

Skutki zaś burzy i innych przerw gwałtownych w komunikacji uwidoczniają się jaskrawo na pozostałych dwóch fototelegramach, chybionych zupełnie. B.

ZŁOTE LISTKI.

Umrzeć lub cierpieć!—a cierpieć bez miary!
Bo mnie się z Tobą trza złać w Twojem niebie,
Lub gdy nie można—żyć w piekle dla Ciebie!
Ślij mi więc męki, jak niebieskie dary!
Im sroższe będą, tem mi więcej błogie—
Ja przed spokojem tylko czuję trwogę,
I tem umieram, że umrzeć nie mogę!



NA STRAŻY GROBÓW

ALE ŚWIĘTOŚCI NIE SZARGAĆ, BO TRZA, BY ŚWIĘTE BYŁY,
ALE ŚWIĘTOŚCI NIE SZARGAĆ..... TO BOLI....

Wyspiański.

PIOTR STACHEWICZ

OD REDAKCYI ZAPOWIEDZI NA ROK 1909



NOWELE

autorów polskich i obcych, najwybitniejszych, z ilustracjami.

POEZYJE

oryginalne i tłómaczone, dające obraz twórczości poetyckiej ostatniej doby.

PODRÓŻE, opisy Polski i krajów egzotycznych,
przez własnych korespondentów-literatów.

FELIETONY literackie, historyczne, obyczajowe, z ilustracjami.

KRONIKI TYGODNIOWE BOLESŁAWA PRUSA.

Zamiast wielu przygodnych współpracowników do działów: przeglądu literatury polskiej i obcej, teatru, spraw społecznych, historii i sztuk plastycznych, zaprosiliśmy na stałych referentów tych działów pisarzy, znanych szeroko z talentu i kultury, w tem przekonaniu, że nada to omawianym działom pewien ton stały, ciągłość i walor niepowszedni. Nie będzie tu zatem żadnej przypadkowości, ani różnicy zdań, często zasadniczo przeciwnych sobie, sprawozdania i artykuły „Tygodnika“ będą miały cechę jednolitości i wyraźnych, zdeklarowanych poglądów na dane objawy życia społecznego i artystycznego w Polsce.

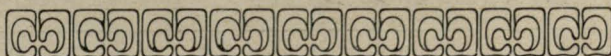
PRZEGLĄD LITERACKI prowadzić będzie J. Weysenhoff

SPRAWY SPOŁECZNE i POLITYCZNE — Wład. Rabski

PRZEGLĄD HISTORYCZNY — H. Mościcki.

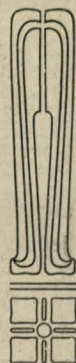
SZTUKI PLASTYCZNE — A. Gawiński, T. Jaroszyński i H. Piątkowski

WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE — C. Jankowski



KAŻDY ARTYKUŁ
ILLUSTROWANY.

A zatem, przy nowym układzie „Tygodnika Ilustrowanego“, każdy numer zawierać będzie:



Artykuł wstępny (literacki, polityczny, historyczny, społeczny, artystyczny) ilustrowany; poezję, kronikę tygodniową, nowelę oryginalną lub tłómaczoną ilustrowaną, powieść ilustrowaną; felieton literacki, historyczny lub społeczny, ilustrowany; podróż, ilustrowaną; wieczory teatralne i muzyczne, ilustrowane; przegląd zagraniczny, ilustrowany; felieton „WIEŚ“ ilustrowany; Przegląd tygodnia ilustrowany; z życia Warszawy, z ilustracjami; felieton: „Z trzech zaborów, ilustrowany. Kronika literacka, ilustrowana. Niezależnie od tego: impresye, krótkie felietony, wiersze, humor i satyra, rebusy, zadania, szarady, drobiazgi, grafologia i cały szereg ilustracji artystycznych.

W każdym numerze **KILKADZIESIĄT ILLUSTRACJI.**

!! DODATKI NADZWYCZAJNE !!

Reprodukcyje barwne najświetniejszych obrazów współczesnych malarzy polskich.



Reprodukcyje dwubarwne na oddzielnych kartonach, z których utworzy się z czasem galeryja najnowszej sztuki polskiej.

W dodatku powieściowym najwybitniejsze utwory współczesnej literatury europejskiej.



*Nie pomogą próżne żale,
Ból swój niebu trza polecić,
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść...i świecić!*

Asnyk

„HASŁO”
PIOTR STACHIEWICZ

W roku przyszłym wydamy szereg numerów specjalnych, bogato ilustrowanych, z których wymienimy:

- Numer jubileuszowy „Tygodnika Ilustr.”
- Numer Słowackiego z powodu stulecia urodzin poety.
- Numer Norwida, ułożony przez Miriamę.
- Numer Jagielloński.
- Numer Masoneryi polskiej.
- Numer „Zapomnianych”.

Pragnąc jak najobszerniej i jak najdokładniej omawiać sprawy galicyjskie, powierzyliśmy reprezentację „TYGODNIKA” K. Srokowskiemu, jednemu z najwybitniejszych publicystów krakowskich, który ze swej strony zorganizował biuro korespondentów literackich i fotograficznych we wszystkich celniejszych miastach zaboru austriackiego. Tym sposobem będziemy mieli ilustracje i wiadomości z pierwszej ręki, rychłe i dokładne. Nie pominiemy też żadnego objawu życia społecznego tej dzielnicy Polski: polityka, sprawy ekonomiczne, literatura, sztuka, teatr znajdą szerokie uwzględnienie na łamach naszego pisma. Uważając, że publikacja, przeznaczona dla całego kraju, nie powinna czynić żadnych różnic pomiędzy trzema rozdzielonymi częściami jednej całości, będziemy traktowali zupełnie narówni sprawy Królestwa, Galicyi i W. Ks. Poznańskiego.

NADZWYCZAJNE PREMIUM TYGODNIKA ILUSTROWANEGO

Dla uprzyświecenia najszerszym warstwom nabycia szeregu dzieł wartościowych, pióra pierwszorzędnych pisarzy polskich i obcych, postanowiliśmy zniżyć cenę

12 tomów cennych i zajmujących

powieści, nowel, poezyi i dramatów tak, aby nabycie ich było możliwe dla wszystkich.

Jakoż oznaczamy cenę tę na RUBLI 2, czyli za ledwie PO ŻŁOTÓWCE ZA DUŻY TOM, zawierający od 200 — 400 str. ścisłego druku.

Na premium omawiane przeznaczaliśmy książki następujące:

- A. Krechowiecki: „Mrok”, *powieść historyczna*
- K. Gliński: „Boruta”, *powieść historyczna*
- T. Jaroszyński: „Miasto”, *powieść współczesna*
- A. Gruszecki: „Zwycięzcy”, *powieść współcz.*
- T. J. Choński: „Różycki”, *powieść z dziejów Poznańskiego*
- F. Morzycka: „Powrotne fale”, *nowele*
- F. Brodowski: „Chwile”, *opowiadania, nowele*

- Konar: „Panny”, *powieść współczesna*
- R. Laskowski: „Melodye”, *poezye*
- J. Słowacki: „Zawisza Czarny”, *dramat*
- Z. Sarniecki: „Szklana góra”, *baśń sceniczna*
- M. Gorkij: „Dzieci słońca”, *dramat*

Nazwiska wymienione mówią same za siebie, reklamować ich nie trzeba; jest to naprawdę jedyna sposobność wzbogacenia biblioteki domowej za bajecznie niską cenę, zwłaszcza, że możemy przyjmować po 50 kop. kwartalnie, wydając w takim razie po 3 tomy co kwartał. (Przesyłka 12 tomów rs. 1).



Uzyskaliśmy też dla prenumeratorów „Tygodnika” znaczne zniżenie ceny wspianego, pomnikowego wydawnictwa:

ALBUM MALARZY POLSKICH W REPRODUKCYACH BARWNYCH

a mianowicie zamiast 9 rubli za 6 zeszytów, prenumeratory nasi płacić będą **TYLKO RUBLI 6**, z przesyłką rubli 7 kop. 50.

Wydawnictwo to powinno się znaleźć w każdym domu polskim.



Skład redakcyi stanowią:

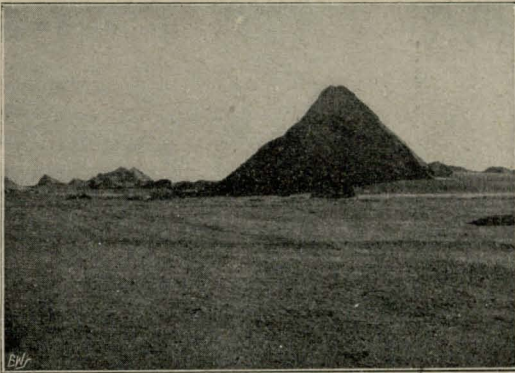
WYDAWCY: GEBETHNER I WOLFF. ■■■■

Redaktor: Dr. Józef Wolff; współredaktor literacki: Artur Oppman (Or-Ot); kierownik artystyczny: Józef Holewiński; sekretarz literacki: Henryk Galle. ■■■■■■■■■■



Życie polskie w Turkiestanie.

Kraina ta, którą od niedawna dopiero interesują się szerokie koła naszych kapitalistów i techników, zdawna była znana naszemu ludowi. Od szeregu lat znaczna część zaciągów Królestwa odbywa tam swoją służbę wojskową. Powróciwszy do domu, opowiadali nasi „wojacy“ cuda o żyzności tych okolic, o przyjaznym nastroju miejscowej ludności—Sartów—i wspaniałym klimacie. Niejeden z nich zostawał na stałe w mlekiem i miodem płynącej dolinie fergańskiej. W Taszkencie, w Kokandzie i Andżanie spotykamy często rzemieślników, dorożkarzy i robotników polskich, żyjących z „nieszkodnym“ miejscowym narodem



Pagórki z warstwami miedzi metalicznej, kopalnia Nau-Kat.

i chwalcących sobie ciepły klimat, taniość życia i łatwość roboty.

Bo też kraj ten, ograniczony przedgórzami Himalajów z południa, Ałtaju od północy, a przetrnięty majestatyczną Syr-Daryą, dziwnie przyjemne robi wrażenie na przybyszach z zimnych krajów dalekiego Zachodu. Mrozów niema prawie wcale: w listopadzie żniwo bawełny, w lutym już kwitną brzoskwinie; zima zaznacza się szeregiem przymrozków w styczniu. Ziemia niesłychanie urodzajna, przypominająca miechowskie lub sandomierskie. Ludność miejscowa ujęła w tamy i kanały wszystkie potoki i rzeczki i sztuczną irygacją zmusza ziemię do bogatych plonów. Dziesięcina bawełny przynosi 400 rb., ryż podobno jeszcze więcej.

Całkiem niespodziewany obrót wzięła eksploatacja bogactw górniczych Turkiestanu dzięki inicjatywie polskiej. Pod tym względem Turkiestan jest w zupełności krajem dziewiczym. Sartowie z zasady nie zajmują się górnictwem. Według ich wyobrażenia, duchy podziemne władają wnętrzem ziemi, i wszelkie wdzieranie się w głąb jej obraża tych Plutonów Hadesu sarskiego. Poszukiwania zaś mniej skrupulatnych „Franków“ wykazały istnienie bogatych złóż miedzi, ołowiu, antracytu, węgla, ropy naftowej, a także złota.

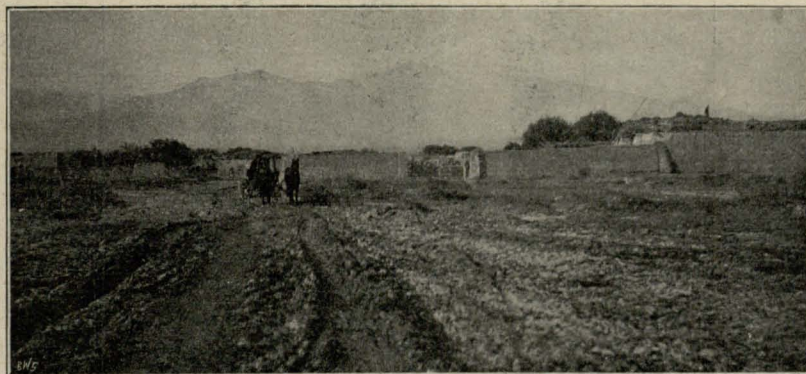
Pierwszem poważnym przedsiębiorstwem w zakresie eksploatacji tych podziemnych skarbów jest świeżo związane z pomocą kapitałów polskich Syr-Daryjskie Towarzystwo Górnicze. Od roku znany w szerokich kołach przemysłowych p. Witold Morzycki, b. przedstawiciel petersburskiej firmy Fitzer i Gamper z Sosnowca, osiadł wraz z rodziną nad brzegiem Syr-Daryi, o 4 mile od Kokandy. Wzdłuż rzeki na 30 wiorst ciągnie się nieprzerwanie kilkanaście pokładów pionowo



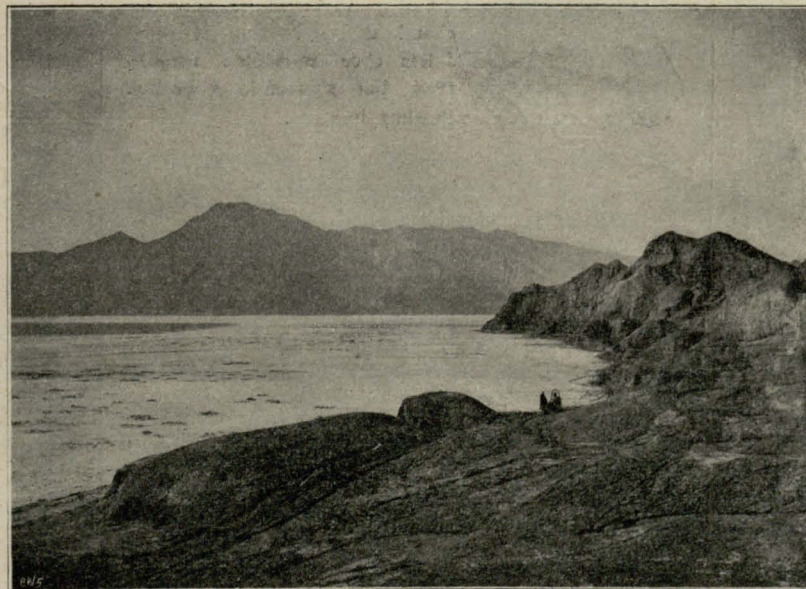
P. W. Morzycki z rodziną i domownikami.

upadającego piaskowca, zawierającego miedź metaliczną.

Wystarczy płókać piaskowiec ten w prostych bębnoch żelaznych wodą, by otrzymać 95-procentową miedź, która wprost stopiona daje produkt pierwszorzędnej jakości. Jeden sążeń szecienny takiego piaskowca zawiera miedzi metalicznej za 300—700 rb. Jeżeli uprzytomnimy sobie, że 6 takich pokładów grubości do kilku metrów ciągnie się przeszło 30 wiorst, że do 100 metrów w głąb znaleziono zawartość przeciętną 3% miedzi metalicznej w masie piaskowca, to



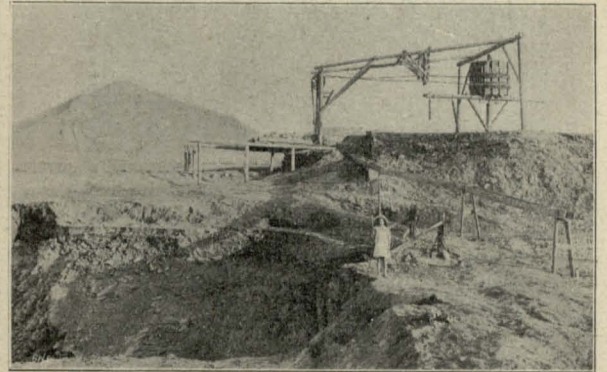
Wioska sarska Nau-Kat.



Nad Syr-Daryą.

wyrobimy sobie pojęcie o szalonych bogactwach, kryjących się w głębi ziemi. Doświadczenie geologiczne całego świata każe przypuszczać dalszy ciąg tych pokładów w głąb do tysiąca i więcej metrów, czyli w praktycznie niezmierną głąb.

Oryginalny widok przedstawiają tereny przedsiębiorstwa. Wzdłuż brzegu Syr-Daryi, szerokiej tutaj, jak Wisła pod Warszawą, rozciąga się pasem kilka wiorst szerokim absolutna pustynia, bez źdźbła zieloności. Jest to miejsce przewozu, Nau-Kat po sarku. Ruch panuje dzień i noc: karawany na wielbłądach, brodate Sarty w pstrych chałatach i śpiczastych „tybetejkach“, wozy dwukolne, arby, o kołach przeszło dwumetrowej śred-



Szyb z wyciągiem konnym w kopalni Nau-Kat.

nicy—wszystko przedstawia osobliwy i oryginalny widok.

Po drugiej stronie zabudowania zamczyste to domy przedsiębiorstwa, budowane z gliny (lössu) krajowym obyczajem. Ponieważ deszcze w tych stronach prawie nie padają, więc nawet płaskie dachy składają się z mat ryżowych, powleczonych cienką warstwą gliny.

Większość robót górniczych i pomocniczych, szyby, sortownie i t. d., wobec wiecznie pogodnego nieba, obywa się najzupełniej bez dachu i zakrycia. Tylko maszyny parowe i kosztowniejsze urządzenia płótki mechanicznej potrzebują ochrony od kurzu i piasku. Poza tem cały ruch górniczy, kieraty i maszyny wyciągowe, odwóz rudy i t. d. rozwija się na tle pustyni i zamykającego ją łańcucha przedgórz Himalajów, świecącego ośnieżonymi szczytami o wysokości absolutnej przeszło 4000 metrów.

O kilka wiorst zaledwie od pustynnej doliny Syr-Daryi rozciągają się uprawne grunty, nawodnione dopływami głównej rzeki, a wśród nich gęsto rozsiane zabudowania wsi sarskich, świadczących nam o wysokiej kulturze rolniczej. Intensywnie prowadzone odrody dostarczają wszelkiego rodzaju jarzyn i przepięknych owoców o wybornym smaku.

Przedsiębiorstwo samo znajduje się w dawnym łożysku Syr-Daryi, stąd żwirowo-pustynny charakter tego położenia; na prawo i na lewo zaś kraj gęsto osiadły i kulturą przypominający bezpośrednio podmiejskie okolice wielkich stolic europejskich.

Placówka to nie zajęta do tej pory przez nikogo; może tym razem uda nam się być szczęśliwymi „conquistadorami“, i to bez szkody dla nikogo, a z pożytkiem dla siebie?

WIERZBNA.

ANDRZEJKI.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

W pokoju cioci śmiech i gwar! Kominek bla-
skiem sieje... Ciotcia tygielek stawia w żar i żółte wo-
ski leje!

W pokoju cioci dziatwy rój radością promienieje...
— Ciotuniu złota! skarbie mój! niech ciotcia co
uleje!

Chichocze dziatwa, klaszcze w dłoń!
Łuczywo zwolna tleje...
Ciotunia chyli smutną skroń i żółte woski leje...
Rycerze... lalki... wieńce... kwieć... marzenia i na-
dzieje, co tylko młodość pragnie mieć, ciotunia wszyst-
ko leje!



W wigilię św. Andrzeja. Z albumu A. E. Androllego.

W pokoju cioci zamilkł gwar, kominek już nie
grzeje, ciotunia w skrępy patrzy żar i... łyż rzęsi-
ste leje... Zwisła smutnie siną skroń, jak drzewko na
zawieje, zawiędły bukiet bierze w dłoń i łyż rzęsiste
leje!

Zawiędły bukiet... pęczek bzu!

Wiośniane serca dzieje!

Ciotunia szepce: — „Pokój mu!”

l... łyż rzęsiste leje!

Tak bywało dawniej w szary listopadowy wie-
czór, w Andrzejki. I śmiech, i gwar, i przygarść wspo-
mnień serdecznych, i łyż zawiedzionych nadziei, i dużo,
bardzo dużo szczerego piękna w tych legendarnych
wóżbach.

Każdy dwór miał taką ciotunię czy babunię i taki
zacisny pokoik. Najczęściej nie była naprawdę ani
ciotunią, ani babcią niczyją, tylko daleką krewną-rezy-
dentką—ale tak jej mówili wszyscy: dzieci, ekonom,
służba...

Przecierpiała wiele, przemarzyła jeszcze więcej.
I przędła nić swych świetlanych marzeń...

A ile ich było w takim zacisznym pokoiku cio-
tuni! Snuły się nad wybitą włosieniem kanapą, nad
doniczkami kwitnącej geranii, nad uschlłym pęczkiem
bzu, przyszpilonym do ramek spłowiałego dagerotypu.

I żyły, jak za dni wiośnianych.

Bo tkwiła jakaś dziwna, nigdy nie przechodząca
wiosna, jakaś wieczna, wierząca młodość w tych starych
postaciach wiejskiego dworu.

Hej! dawne czasy!

Ciotunia woski leje...

— Moja złota! moja brylantowa Bukosiu!—proszą
dziecięce głosy.

Bukosia z całą powagą zabiera się do tak wa-
żnego aktu. Więc najpierw święconą wodą wymyty ty-
gielek, święconą kredą naznaczony krzązek wosku...

Otoczono ciotunię kołem. Dzieci, ekonom, słu-
żba, nawet ten „smotruch” Maryśka...

Ciotunia dziś w swym żywiole, na wszystkich ła-
skawa...

Na kominku płonie. W tygielku skwierczy...

— Dla mnie! Dla mnie!

— Dla Jadwini—wyrokuje ciotunia.

Jadwinia ma już lat szesnaście.
Plusk! chwila oczekiwania...
Bukosia niesie ostrożnie ulane dziwo.
Patrzy do światła...
— Chłopiec! jak Bóg miły! chłopiec! podobny
do...

Jadwinia raczka spiekła.
— A teraz Stasiowi...
Staś to faworyt Bukosi, choć jej psikusy różne
płata i wodę lawendową wylewa...

— Dla ciebie, Stasiu!
Plusk!
Szabelka!
Stasiowi w modrych oczach płonie.
I tak dalej i tak dalej! Ekonomowi ulą się kie-
liszek, ku ogromnej radości całej służby, „smotruchowi”
Maryśce wianek...

Wianek! Ciotunia wzdycha...
Z drugiego pokoju człapie major, także rezydent.
Słychać z daleka, jak drewnianą nogą powłóczy...

— A możeby tak i mnie ciotcia Bukosia dobrodzi-
ka... co... *Sacré Dieu!* ciekaw jestem...

— Ej! dałbyś major pokój! Nam się tam chyba
już nic nie należy...

Stary wojak macha ręką z rezygnacją...

— Ha! jak nie, to nie! *Sacré Dieu!* co byś mi
tam aścka wywróżyć mogła... Pamiętam akurat...

Tak bywało ongi. Dziś nie wiem, czy są jeszcze
takie ciotunie?

Ale, że wyobraźnia „nie zna, co to pany”, więc
biegnę myślą w jakiś najcichszy zakąt kraju na... An-
drzejki.

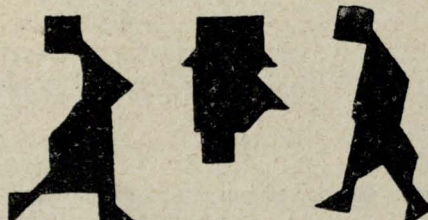
Stary drewniany dwór z okapem.

Wieczór. Już lampy zapalono. Rodzina ziemiań-
ska przy okrągłym dębowym stole. Kilka panienek...
Tygielek z woskiem... miska z wodą...

Leją... Śmiech i gwar...

Uroczą panną Julcia, taka mazurka, jakie się
tylko w okolicach Lipna rodzą, spełnia funkcję wróżki.
Plusk!

— No! co tam? — pyta pan domu, porzucając
gazety...



— Proszę zobaczyć...

— Kiej dyabeł? w fezie! jakiś Czarnogórzec czy
Serb?...

Plusk!...

Znowu figurka woskowa idzie z rąk do rąk...

— Jakby Czech z harfą! —
wyrokuje głos męski.

Plusk! jeszcze raz...

— Druciarz! jak honor ko-
cham! druciarz! Cóż to! panna
Julcia chce w Wólce urządzić
jakiś bal słowiański z wosku...
Prosimy jeszcze...



Panna Julcia chwyciła pośpiesznie za tygielek...
l... sparzyła się w różowy paluszek!
Nic się już więcej nie uląło.

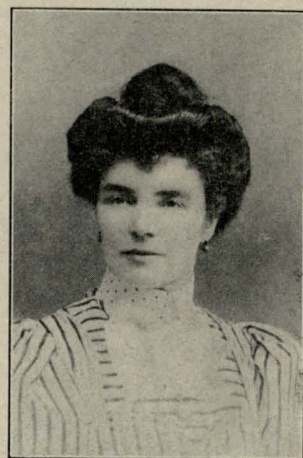
K. LASKOWSKI.

Koło równouprawnienia kobiet w Wilnie.

Stolica Gedymina coraz wyraźniej budzi się z przy-
musowego letargu. We wszystkich dziedzinach życia
społecznego dostrzedz można zapal gorączkowy, by czas
utracony odzyskać, by inne dzielnice w rozwoju dogonić.
Jeszcze tu i owdzie widać w tem brak samodzielności,
mimowolne oglądanie się na Warszawę, Kraków; stop-
niowo jednak i ten nieunikniony skutek długiej śpiączki
zanika. Wilno znów chce, jak ongi, coś dawać kulturze
narodu ze siebie.

Tę dążność zaobserwować można w działalności
miejscowej organizacji niewieściej.

Wileńskie „Koło równouprawnienia kobiet” różni
się zmiennie od podobnych związków w Galicyi i Kró-
lestwie. Jest to poniekąd i skutek wcześniejszego stop-
nia ewolucyi całokształtu życia, ale bądź co bądź kie-
rowniczkom ruchu należy się właśnie za to uznanie, iż
ślepo nie podążają uTOROWANĄ drogą, lecz własnym wy-
śiłkiem najodpowiedniejsze dla siebie odnajdują szlaki.



Emilia Węśławska, prezeska wileńskiego
Koła równouprawnienia kobiet.

Wileński ruch
kobiocy posiada dzi-
wnie mało punktów
stycznych z t. zw.
„feminizmem”. Jest
znacznie mniej krzy-
kliwy, nie tak buń-
czuczny, unika sta-
rannie wszelkich ja-
skrawości i zacho-
wuje ciągłość trady-
cyi. Jakoś bez wrza-
wy Litwinki nasze
zabrały się do pracy.
Dziś nawet po dwo-
rach bogatego oby-
watelstwa łatwo tu
spotkasz studentkę
lub osobę udyplomo-
waną, która jednak
zachowaniem swem

niczem się nie różni od każdej innej kobiety z tego sa-
mego środowiska. Charakterystyczny i pochwały godzien
jest fakt, iż z pośród młodzieży żeńskiej kształcącej się
część wcale poważna oddaje się studjom agronomicz-
nym, które w kraju rolniczym mogą mieć najlepsze zasto-
sowanie.

Naogół ruch
jest powierzchowny,
bo ogarnął niemal
wyłącznie wyższe
warstwy społeczeń-
stwa. Niemniej
wszakże odznacza
się powagą, daleką
od pustego frazeso-
wiczostwa.

Powaga ta ce-
chuje też działał-
ność organizacji,
mającej siedzibę w
Wilnie. Zadaniem
„Koła” jest w za-
sadzie: 1) zdobycie
praw politycznych i
obywatelskich; 2) po-
prawa bytu ekono-
micznego kobiet. Działalność instytucji obejmuje: roz-
wój samowiedzy, budzenie zainteresowania dla sprawy,
uzupełnianie wychowania dziewcząt i ułatwianie im
zdobywania fachu, wreszcie podnoszenie ogólnego po-
ziomu umysłowego i moralnego kobiet.



Zofia Paszkowska, vice-prezeska Koła
równouprawnienia kobiet.

Właśnie przed
kilkoma tygodniami,
gdy główne działaczki
nasze wróciły do
Wilna, „Koło” po-
częło znów żywiej
działać. Przedewszy-
stkiem więc przyłą-
cza się ono do akcji
kobiet całego pań-
stwa Rosyjskiego,
celem złożenia Du-
mie petycyi, żądają-
cej rozszerzenia praw
niewieściej; następ-
nie krząta się ener-
gicznie około zorga-
nizowania szeregu
odczytów, a poza
tem dało inicjatywę
do urządzenia wy-
kładów, czyli lekcji zbiorowych dla młodzieży żeń-
skiej, nie mogącej opuścić rodzinnego miasta,
gdzie, niestety, tak trudno o naukę w zakresie
obszerniejszym. Lecz „Koło” chodzi nie tylko o kształ-



Apolonia Makowska, vice-prezeska Koła
równouprawnienia kobiet.

cenie młodzi. Zainicyowano również wykłady dla mężatek i wogóle niewiast dorosłych, z zakresu higieny, nauki tak niezmiernie dla kobiety ważnej.

Słowem, niewiasty nasze, choć nie głośno, choć bez szumnej reklamy i ekscentrycznych wybrków, pracując dzielnie dla siebie samych, podnoszą jednocześnie kulturę kraju i budzą ruch umysłowy, którego Wilno brak już oddawna.

B. H.

Chińskie cienie.

W Pekinie jedna za drugą—dwie śmierci!

Jednocześnie zniknęli ze sceny: i ten, kto był tylko cieniem cesarza, i ta, która, przywykły widzieć dokoła siebie pokorę i niewolnictwo, była cesarzową



Miting (Bojkot cudzoziemców w Chinach).

cieniów. Czy naturalną śmiercią umarli lub może jaka zewnętrzna przyczyna przyspieszyła katastrofę?

Tak czy inaczej, zeszyły ze sceny dwie typowe postaci w państwie Nieba, od którego spodziewać się należy nowych, doniosłej wagi wydarzeń. Co będzie teraz z Chinami?



Handlarz skórkami w Mukdenie.

— Cesarz chiński umarł!

Wszyscy wiedzieli, co kryje się pod tym wyrazem. Umarł—znaczyło, że opuścił ten świat nie z własnej woli, lecz dlatego, że komukolwiek stanął na zawadzie. Biedny Kuang-Hsiu! Tym, którzy marzą o odrodzeniu Chin,

o europejskich reformach i o nowym życiu w państwie, przeszkadzał dlatego, że dla przeprowadzenia tego wszystkiego nie posiadał ani siły, ani wpływu. Tym, którzy pragnęli pozostać w kręgach chińskiego muru na złość „białym szatanom”, przeszkadzał również, gdyż myśli jego i pożądaną były skierowane ku postępowi. Oto dlatego Kuang-Hsiu tak często umierał...



Herbaciarny uliczny w Mukdenie.

Prosty, dobronny, lubił wszystko i wszystkich na świecie. Z prawdziwie buddyjską pokorą przenosił wszelkie nieszczęścia i godził się nawet z rolą cesarza. Istniało jednak coś, z czym nigdy nie mógł sobie poradzić. Strach przed cesarzową-ciotką.

Cesarzowa-regentka... Postać dziwna, nawet w Chinach! Typowa raczej starożytna Sarmatka, dzika, wojownicza i despotyczna. Przez szereg lat trzymała w swo-



Chwytywanie piratów na rzece Jang-tse w Chinach.

ich rękę losy Chin, umiając się wznieść od nalożnicy do wysokości i majestatu wielkiej władczyni.

Błędne jest mniemanie, że cesarzowa-regentka była przeciwna reformom.

Nie uznawała tylko tego, co nie wychodziło od niej bezpośrednio. Ta w każdym razie nieprzeciętna kobieta z całej swej azyatyckiej duszy nienawidziła Europejczyków, lecz mocą swego niewątpliwie państwowego rozumu pojęła, iż Chinom, o ile nie chcą zginąć, nie pozostaje nic innego, jak otrząsnąć się z letargu i zaczerpnąć eliksiru życia od Europy. I oto cesarzowa-regentka ogłasza o zamierzonym wprowadzeniu konstytucji, lecz konstytucji specyficznie chińskiej, mądrej i nieprędkiej, która siedem razy obejrzy się i przemyśli, zanim zdoła się na jeden krok naprzód.

— Naród nie przygotowany jeszcze do przekształ-

ceń. Zanim wprowadzić konstytucję, należy rozwinąć naród. Przed wolnością należy mu dać oświatę — tak brzmi dekret cesarzowej-regentki. I rzeczywiście, w przeciągu ostatnich lat oświata narodo-

wa w Chinach znakomicie rozszerzyła swoje wpływy i potęgę. — Im prędzej naród będzie przygotowany do zrozumienia konstytucji, tem łatwiej będzie ją wprowadzić. I logika, i rozumowanie, i polityczne poglądy, jak na Mongołkę, więcej niż zadziwiająco...

Chiny obudziły się już do nowego życia. Na dzień przed śmiercią zmarła cesarzowa wydała ostatni swój dekret, w którym za cesarza Chin ogłosiła Pin-hin, a regentem i opiekunem narodu własnego ojca, księcia Tschua.

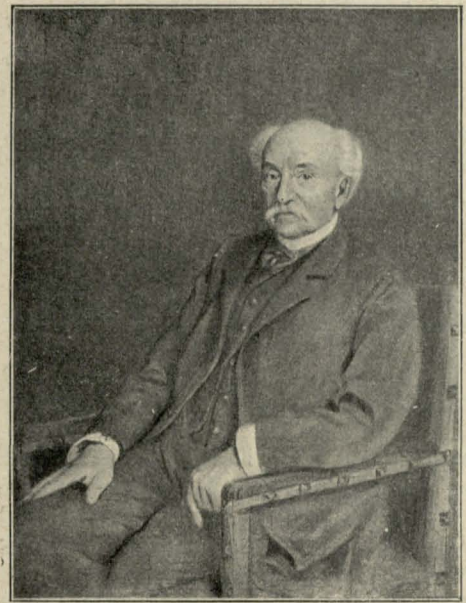
— Jestem beznadziejnie chora — tak pisała do Pin-hin — boję się, że do zdrowia już nie powrócę. Wszystkie sprawy państwowe powierzyłam księciu-regentowi.

Nowy cesarz Pin-hin w bardzo przykrych dla siebie warunkach rozpoczyna swoje panowanie. Wrzenie coraz więcej ogarnia ludność chińską. Rewolucja pałacowa może wybuchnąć lada moment.

Wschód gotuje nam nową niespodziankę... K.



Tsai-feng, książę Ch'un, brat zmarłego cesarza, obecny regent Chin.



MATHIAS BERSOHN. Według portretu pastelowego K. Mordasewicza.

MATHIAS BERSOHN.

Przed kilkoma dniami zmarł w Warszawie w sędziwym wieku 84 lat jeden z najzasłużniejszych Izraelitów polskich, człowiek dawnego pokolenia z lat sześćdziesiątych, dobry obywatel, niepośledni znawca przeszłości naszej, miłośnik sztuki, filantrop, znany zbieracz zabytków polskich, Mathias Bersohn, urodzony w 1824 roku w Warszawie, jako najstarszy syn obywatela ziemskiego i przemysłowca, Majera Bersohna. Mathias Bersohn kształcił się w mieście rodzinnym i w Berlinie. Wróciwszy do kraju, zajął się wraz z bratem młodszym, Janem, energiczną pracą na polu przemysłu i handlu, upodobania jednak i skłonności wrodzone ciągnęły go na zupełnie inną drogę. Jakoż z zapalem i umiłowaniem przedmiotu oddaje się Mathias Bersohn studiom historyczno-estetycznym i w ciągu szeregu lat drukuje w *Kłosach*, w *Jutrzence*, w *Bibliotece Warszawskiej* i w naszym *Tygodniku* wiele prac ciekawych i ważnych. Niemały też jest zbiór studyów i szkiców Bersohna, wydanych oddzielnie. Z tych wymienić należy: „O Wicie Stwoszu“, „Tobiasz“, „Kohn, lekarz polski z XVII-go wieku“, „O rytownikach gdańskich“, „Studenti Polacy na uniwersytecie w Bolonii i Padwie“, „O rękopisach iluminowanych“, „Słownik uczonych żydowskich w Polsce“, „Katalog księgozbioru katedry plockiej“, „Zbrojownia Radziwiłłowska w Nieświeżu“, „Stare bóżnice w Polsce“ i inne.

Książki te, przeważnie bardzo ozdobnie wydane, odbijane w niewielkiej liczbie egzemplarzy, stanowią cenne przyczynki do dziejów kultury naszej i niewątpliwie pozostaną, jako szacowna spuścizna po zmarłym badaczu i kolekcjonerze.

Kolekcjonistą Mathias Bersohn był zapalonym i znawcą antyków, zwłaszcza w dziedzinie malarstwa, pierwszorzędnym. Mieszkanie jego przy ulicy Elekto-ralnej było to prawdziwe muzeum pamiątek polskich, gromadzonych zabiegliwie, celowo, umiejętnie.

Z radością i dumą pokazywał on ciekawemu gościowi mnóstwo pamiątkowych drobiazgów, umieszczonych w licznych gablotach, rzadkie książki, unikatowe ryciny, odręczne szkice, prastare oprawy i cieszył się, jak dziecko, gdy słuchacza zajmowało to, co opowiadał, gdy widział, że zbiory jego wzbudzają podziw i szacunek.

Jako znamienity rys Mathiasa Bersohna, podkreślić należy jego wyjątkową uczynność, z jaką pozwalał korzystać ze swojej kolekcji. *Tygodnik* nasz składa na tem miejscu wyrazy wdzięczności pamięci zmarłego za skwapliwość, z jaką udzielał nam do reprodukcji najciekawszych i najrzadszych ze swoich obrazów i rycin.

B. p. Mathias Bersohn był jedną z najpopularniejszych postaci w Warszawie. Rozgłosu nie szukał, ale uznanie go znalazło. Szkoda tego zacnego człowieka, szkoda tem bardziej, że ze śmiercią jego znikła ostatni prawie typ polskiego Żyda z powstaniowych czasów, to znaczy gorącego patrioty i prawego obywatela rodzinnej ziemi. Tłumny pogrzeb i pełne żalu nekrologi we wszystkich niemal pismach są dowodem, że Mathias Bersohn cieszył się szacunkiem całego społeczeństwa. Podniosłem przemówieniem pożegnał na cmentarzu żydowskim zwłoki zmarłego Włodz. ks. Czetwertyński.

Nowa kolej w Galicyi.

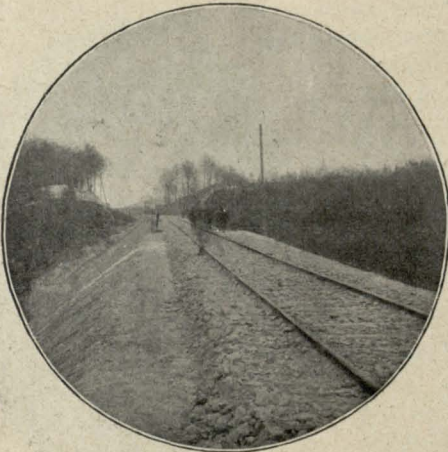
W ubiegłym tygodniu puszczono pierwszy próbny pociąg na nowozbudowanej linii kolejowej Lwów-Winniki-Brzeżany-Podhajce. Nowa ta kolej,



Dworzec dr. żel. Lwów-Łyczaków. Fot. M. Münz.

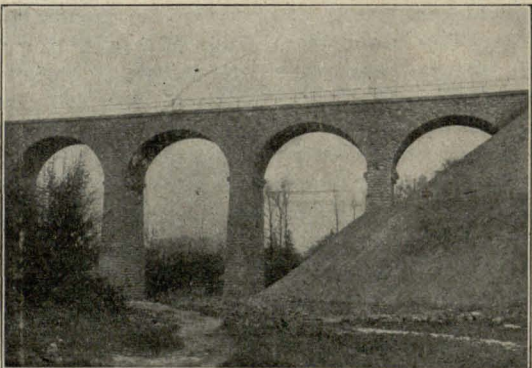
której potrzebę oddawna już szerokie sfery dotkliwie odczuwały, stwarza najkrótsze połączenie stolicy Galicyi z jej najniższym centrum, z Podolem środkowym. Dzięki tej linii droga ze Lwowa w głąb Podola została skrócona o kilka lub nawet kilkanaście godzin, co dla rozwoju stolicy z jednej strony, a dla postępu okolic, przez które kolej przechodzi, z drugiej musi mieć bardzo poważne znaczenie.

Także i ruch wycieczkowy ze Lwowa znajduje na tej linii bardzo pożądany dla siebie kierunek,



Fragment linii kolejowej pod Krzywczycami (Lwów-Łyczaków).

kolej ta bowiem prowadzi przez najromantyczniejszą część znanej z piękności okolicy Lwowa. Wyszedszy z dworca Podzamcze-Lwów, otacza miasto szerokim łukiem i, przewinawszy się szeregiem wiaduktów, bardzo wysokich nieraz, przez malownicze wzgórza krzywczyckie, wychodzi wysoko nad miasto do stacji „Łyczaków-Lwów“, skąd znowu prowadzi okolicą, obfitującą w bardzo piękne widoki, do Winnik (wielka fabryka tytoniu), a stamtąd do Brzeżan i Podhajec. Ryciny nasze przedstawiają fragment linii i jeden z wysokich wiaduktów tej kolei na przestrzeni między stacjami Lwów-Podzamcze a Lwów-Łyczaków.



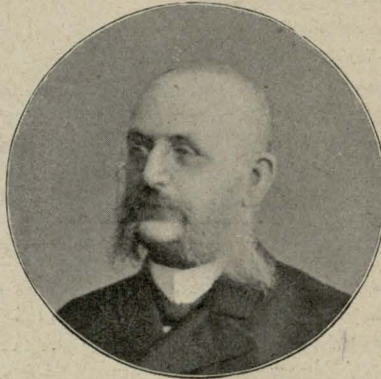
Wiadukt nowej kolei pod Lwowem.

Jubileusz finansisty.

Jeden z najjęźszych finansistów galicyjskich, dr. Alfred Zgórski, obchodził 20 b. m. dwudziestopięcioletni jubileusz swej działalności na wysokim i odpowiedzialnym stanowisku dyrektora Banku krajowego we Lwowie, największej instytucji finansowej nie tylko w Galicyi, ale wogóle w Polsce.

Dr. Alfred Zgórski, ur. w r. 1848, odbywszy studia gimnazjalne i filozoficzne w Wiedniu, poświęcił się pierwotnie zawodowi nauczycielskiemu, który jednak rychło porzucił, aby podjąć pracę na polu ekonomicznego odrodzenia kraju. Działalność jego, jako członka dyrekcji Towarzystwa zaliczkowego, zwróciła nań uwagę czynników międzynarodowych, które też wkrótce powierzyły mu dyrekcję Banku krajowego.

Że wybór ten był trafny, że dr. Zgórski pod każdym względem odpowiadał nadziejom, które w nim wówczas pokładano, dowodziła obecna uroczystość jubileuszowa. Najwyższa krajowa władza autonomiczna—wydział krajowy, przesłał jubilatu dekret pochwalny, zredagowany w słowach bardzo dlań zaszczytnych. Wszyscy członkowie rady nadzorczej, tudzież gremium urzędników Banku, złożyli mu adres gratulacyjny, a ze wszystkich stron kraju i państwa posypały się depechy z życzeniami dla zasłużonego jubilata, którego niezmordowanej energii, inicjatywie i patriotyzmowi zawdzięcza Galicya w bardzo znacznej części uporządkowanie i unormowanie stosunków finansowo-kredytowych, powstanie rokujących coraz lepszą przyszłość zawiązków przemysłu fabrycznego, znaczny rozwój rękodzielnictwa, słowem, poważne pomnożenie bogactwa krajowego i narodowego.



Alfred Zgórski.

TEATRY GALICYJSKIE.

KRAKÓW.

Wśród poważnego nastroju, jaki w krakowskich sferach artystycznych wytwarza zbliżająca się uroczystość przedstawienia „Nocy listopadowej“ Wyspiańskiego, ostatnia premiera p. Maurycego Kisielnickiego p. t. „Związek nadpostępowy“ była miłym intermezzo humo-

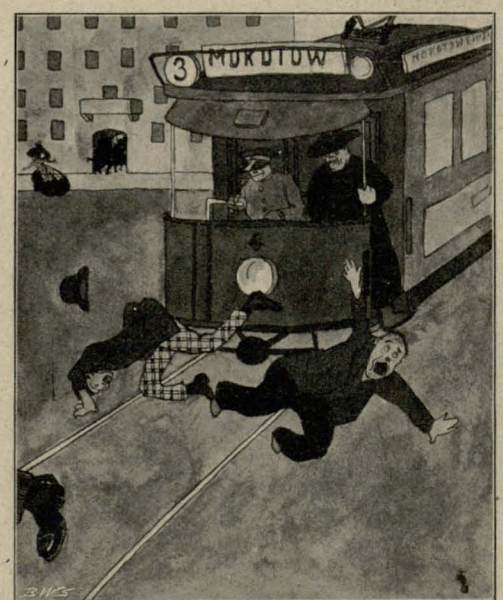
ru, wesela i śmiechu, chociaż w obliczu najbardziej drogich i najbardziej brutalnie podeptanych wczorajszych jeszcze marzeń i nadziei.

P. Kisielnicki sięgnął po temat do swej satyry czy farsy do niedawnych czasów w Królestwie Polskim w Warszawie. Wprawdzie czasy te obfitują raczej w tematy, godne Sofoklesa, Szekspira i Moliere, ale też p. Kisielnicki, wróciwszy do nich przez scenę krakowską, jeszcze się przeto wcale z tymi panami nie skoligacił. Przeciwnie, sztuka jego ma treść dość bląhą, sentyment dostatecznie tani i kłiw, a tezę wystarczająco wątpliwą, aby ją można było bez wahania zaliczyć do zupełnie przeciętnego persyflażu nieprzeciętnych kwestyi, wypadków i wspomnień. Powierzchniwnie trafna obserwacja, werwa i humor, zresztą nie pierwszorzędnej marki, dają „Związkowi nadpostępowemu“ pewną rację bytu na scenie. Ludziska cieszą się z rozmaitych kawałów, jakie udają się rozmaitym „przywódcom“, bawią się „nadpostępowością“ na trzeźwo egzaltowanej Żydówki Reginy i w ogólnej sumie momentalnych wrażeń przyjemnie spędzają wieczór, tem bardziej, że taka para artystów, jak Ludwik i Irena Solscy, że taki komik, jak p. Bończa, grają nieporównanie. △

L W Ó W.

W teatrze lwowskim dokonał się ważny fakt—długoletni dyrektor, p. Tadeusz Pawlikowski, najlepszy dziś niewątpliwie znawca sztuki dramatycznej w jej najszlachetniejszym znaczeniu, zgodził się objąć kierownictwo artystyczne dramatu lwowskiego. W ten sposób zapełniona została luka, którą bardzo dotkliwie odczuwała ta część publiczności lwowskiej, której wymagania teatralne sięgają poza granicę farsy czy operetki. Z dwóch czynników, dotąd wrogich sobie, w rozmaitych zakresach dla teatru w jednej niemal mierze cennych—ze sprężystości administracyjnej dyr. Hellera i z wysokiej kultury artystycznej dyr. Pawlikowskiego—udało się stworzyć syntezę, której trwałość tylko, a nie wartość artystyczną, można kwestyonować. Obu dotychczasowym współzawodnikom należy się uznanie, że pewne uprzedzenia osobiste złożyli w ofierze sztuki i że w celu służenia jej zeszli się pod kopułą lwowskiej świątyni Melpomeny. Nasz teatr stołeczny potrzebuje ich obu w równie wysokim stopniu. Jest on za wielkiem przedsiębiorstwem, aby mógł bezkarnie obchodzić się bez sprężystości i talentu administracyjnego p. Hellera. Z drugiej strony kulturalne cele teatru naszego są zbyt wysokie, aby współpracownictwo takiego kierownika artystycznego, jak p. Pawlikowski, mogło okazać się dla ich osiągnięcia zbędnym.

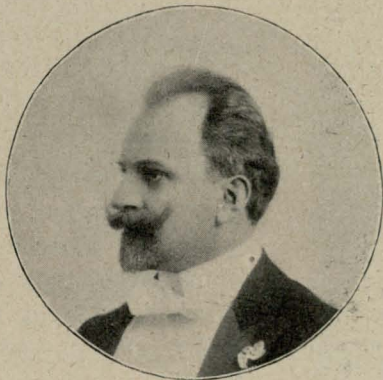
Pracę swą artystyczną w nowych warunkach za-inaugurował p. Pawlikowski niezwyklej staranności i pomysłowości pełnym wystawieniem „Sędziów“ Wyspiańskiego. —wicz.



Już to kult tracenia ludzi coraz bardziej estetyczny: dawniej topór, gilotyna, a dziś tramwaj elektryczny.

Z żałobnej karty.

Tomasz Pajzderski. Ubył nam z grona żyjących jeden z najzdolniejszych i najbardziej utalentowanych budowniczych warszawskich, ś. p. Tomasz Pajzderski. Urodzony w r. 1865 w Poznańskim, po ukończeniu specjalnych studyów oraz kilkunastu latach pracy zagranicą doskonale rozwinął w sobie wrodzone zdolności artystycz-



Tomasz Pajzderski.

ne i poświęcił się z zapalem krzewieniu kultury estetycznej wśród swoich. To też widzimy go wkrótce na stanowisku profesora w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, gorąco umiłowanego przez młodzież, która ceniła swego kierownika za głęboką wiedzę i szczere ukochanie sztuki. Jednocześnie ś. p. Tomasz Pajzderski wykonał szereg prac wysokiej wartości artystycznej, jak również pisywał w dziedzinie swojego zakresu do pism. Niektóre studia zmarłego były drukowane i w *Tygodniku Ilustrowanym*. Śmierć ś. p. Tomasza Pajzderskiego ciężko zasmuciła żonę, Helenę Janinę z Boguskich (Hajotę), znaną powieściopisarkę, której przesyłamy wyrazy szczerzego współczucia. Działalność artystyczną zmarłego przedstawimy obszerniej w jednym z najbliższych numerów *Tygodnika*.

Aleksander Ciszewski. Nagle podczas chwilowego pobytu w Moskwie zmarł ś. p. Aleksander Ciszewski, znany budowniczy warszawski. Zmarły kształcił się w gimnazjum w Płocku, a następnie w Aka-

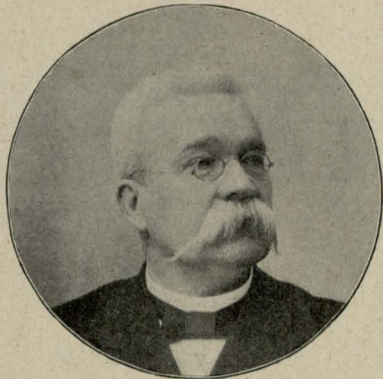


Aleksander Ciszewski.

demii petersburskiej, gdzie uzyskał stopień inżyniera-architekta. Uczestniczył w wypadkach 63 roku. Jako człowiek wielkich zalet towarzyskich, zawsze uprzejmy i uczynny, cieszył się przyjaźnią wśród szerszych kół naszego miasta. Był współzałożycielem „Lutni” i przez lat wiele czynnym jej członkiem. Atak sercowy w 64 roku życia przeciął pasmo pożytecznego żywota ś. p. Aleksandra Ciszewskiego.

W dniu 5 b. m. zmarł w Moskwie ś. p. *Kazimierz Laudyn*, syn Leopolda, oficera b. wojsk polskich. Urodzony na Litwie, wykształcenie pobierał w Kaliszu, gdzie ukończył wyższą szkołę realną, a następnie studyował agronomię w Marymoncie pod Warszawą. Za czynny udział w po-

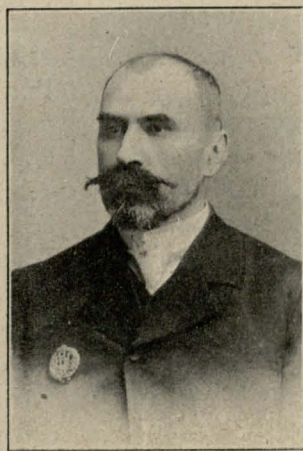
wstaniu 63 r. został skazany na śmierć w Dynaburgu, skutkiem jednak starań rodzinny kara śmierci została zamieniona na do-



Kazimierz Laudyn.

żywnie ciężkie roboty. Odbýwał więc katorgę w „Aleksandrowskim zawodzie” na Syberji, a później pracował w kopalniach na Uralu. W roku 1870 zamieszkał w Irkucku i, otrzymawszy znaczny spadek, włożył go w handel. Kupił statek i nad Angarą pozakładał handlowe faktury, dając w ten sposób możność zarobkowania licznej rzeszy współbraci-skazańców. Myśl, w zasadzie dobra, nie powiodła się jednak, i ś. p. Kazimierz Laudyn stracił wszystko. Od r. 1880 stałe przebywał w Moskwie, oddany sprawom społecznym. Wykształcony, miły w obęściu, uczynny, ogólnie szanowany i lubiany, ś. p. Kazimierz Laudyn był jedną z najwybitniejszych postaci kolonii polskiej w Moskwie. Osierocił córkę i żonę Stefanię, znaną działaczkę i literatkę. Cześć jego pamięci.

W dniu 28 października zakończył swój cichy i pożyteczny żywot ś. p. *Adolf Schuch*, jeden z najdawniejszych pracowników zarządu kanalizacji i wodociągów m. Warszawy. Zmarły pochodził ze znanej w

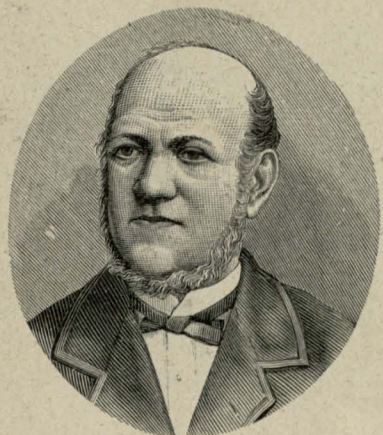


Adolf Schuch.

kraju naszym rodziny. Był prawnikiem słynnego za czasów Stanisława Augusta ogrodnika i botanika, Jana Chrystyana Schucha, twórcy parku Łazienkowskiego. Od niego też pochodzi nazwa jednej z ulic naszego miasta w pobliżu Alei Ujazdowskich, tak zwanej Alei Schucha. Ś. p. Adolf Schuch wykształcenie średnie odebrał w Warszawie, a następnie wyższe studya mechaniczne, do których od najmłodszych lat wykazywał gorące zamiłowanie, odbył w politechnice ryskiej. W roku 1885 otrzymał posadę inżyniera w zarządzie kanalizacji i wodociągów m. Warszawy i stopniowo, dzięki wybitnemu uzdolnieniu w dziedzinie swej pracy, w r. 1905 został zastępcą głównego inżyniera kanalizacji i wodociągów, W. H. Lindley'a. Na tem odpowiedzialnym i ważnym stanowisku nie był jednak długo, gdyż nawał pracy i strata ukochanego syna podcięły zdrowie ś. p. Adolfa Schucha. Usunął się więc na chwilę

od zajęć, powróciwszy następnie do nich, lecz jako inżynier, zarządzający wydziałem gospodarczym kanalizacji i stacji filtrów. Zmarły należał do ludzi o nieskazitelnym sercu i duszy; nie szukając rozgłosu i sławy, pracował z wielką korzyścią dla społeczeństwa w dziedzinie powierzonego mu posterunku. Jako zwierzchnik, był zawsze szczerze i serdecznie miłowany przez swoich podwładnych. Zgonem swym ciężko zasmucił pomiędzy innymi brata swego, Floryana Schucha, również znanego wśród szerszych kół naszego miasta inżyniera.

Na cmentarzu ewangelicko-reformowanym pochowano niedawno zwłoki ś. p. *Aleksandra Ginsa*, jednego z najstarszych drukarzy warszawskich. Superintendent Jelen w serdecznym przemówieniu streścił znaczny żywot sędziwego a zasłużonego wielce członka zboru, podkreślając wielką życzliwość zmarłego dla pracowników, wobec



Aleksander Gins.

których był zawsze dobrym i wyrozumiałym zwierzchnikiem. Pracownicy drukarscy na barkach wnieśli zwłoki umiłowanego pryncypała do grobu, a młody pastor Semadeni wygłosił drugie, poruszające obecnych do łez przemówienie.

W dniu 29 października rozstała się z życiem, przeżywszy lat 90, ś. p. *Kazimiera Gąsowska*, wdowa po ś. p. Wiktorze, b. oficerze czwartego pułku ułanów b. wojska polskiego z r. 1830. Mąż jej w r. 63 został zesłany na Syberję, gdzie zmarł, a majątek rodzinny w gub. grodzieńskiej uległ przymusowemu sprzedaniu. Od tej pory ś. p. Kazimiera Gąsowska, obarczona kilkorgiem dzieci, ciężko walczyła z losem, nie upadając wszakże na

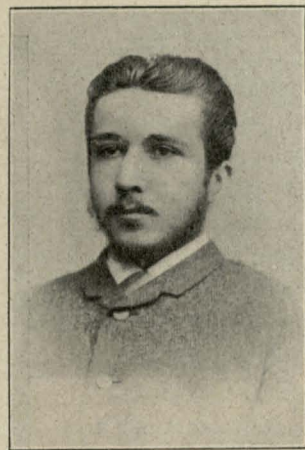


Kazimiera Gąsowska.

duchu. Był to typ zacnej matrony polskiej, która do ostatnich chwil życia zachowała przytomność umysłu i hart niezłomny ducha.

W dniu 31 października zmarł ś. p. *Jan Karoli*, b. wychowanec uniwersytetu dorpackiego do dawnej jego organizacji. Zmarły studyował matematykę i nauki przyrodnicze. Po powrocie do kraju został nauczycielem ulubionych swoich przedmiotów, oraz przez kilka lat pracował w warszaw-

skiej stacji meteorologicznej przy muzeum przemysłu i handlu. Zamieszczał liczne artykuły naukowe w pismach specjalnych i w *Kurjerze Warszawskim*, podpisu-



Jan Karoli.

jąc je zwykle inicjałami. Obdarzony wybitnym umysłem, zbyt gorąco rwał się do pracy, która wobec ciężkich przeciwności losu wyczerpała siły i poderwała zdrowie. Ostatnio przybываяc na wsi, ciężko zaniemógł i dokonał życia, pozostawiając niezatartą pamięć u tych, którzy znali jego czyste serce i prawy charakter.

NASZE RYCINY.

Komitet T. Z. S. P. zakupił w ostatnim czasie do rozlosowania w r. b. wyborny fragment większego obrazu *W. Koszaka: „Siostra miłosierdzia”*. Z zazdrością się myśli o szczęśliwym posiadaczu biletu, wygrywającego ten dowód wielkiego talentu artysty tej miary, jak Koszak. Arcydziełem w swoim rodzaju jest również umieszczony w dzisiejszym numerze portret pastelowy kustosa Biblioteki Jagiellońskiej, *Karola Estreichera*. Znany bywalec teatru krakowskiego, schwytany z nieporównanym majsterstwem podczas przedstawienia, patrzy z całym skupieniem na przebieg akcji scenicznej. Układ i głęboła inteligencya malarska idą o lepsze z niesłychaną szybkością, z jaką artysta temat dany wykonywa. Pastel w ręku *prof. Wyczółkowskiego* idzie prawie jednocześnie z myślą, stąd ta jednolitość i zdecydowanie przy nieskazitelnym czułości oka na barwy. „*Wnętrze kościoła w Czerwinku*” *M. Trzebińskiego*, ogrom sumiennosci i pietyzmu, z jakim artysta studya swoje perspektywiczne i świetne traktuje. Dość spojrzeć na subtelność w wykończeniu rysunku ornamentów, zdobiących furtę kościoła, aby mieć pojęcie o pracowitości przy talencie wyzyskania najtrudniejszych warunków oświetlenia. Obraz *Geralda Kelly*, pomimo szkicowego traktowania, posiada nadzwyczajne zalety kolorystyczne i świadczy o wielkim talencie młodego Irlandczyka, prawdopodobnej gwiazdy w rozwoju sztuki brytyjskiej, tak jak w belgijskiej gra dużą rolę *W. Gilsoul*, którego obraz, znakomicie malowany „*Marzec*”, przedstawiający jeden z portów flamandzkich podczas wymienionej pory roku, dajemy dziś w bardzo dobrej reprodukcji.

Wszystkim rocznym prenumeratom „Tygodnika ilustrowanego” po opłaceniu przedpłaty za kwartał IV r. b. rozesłane będzie premium za rok bieżący.

JUBILEUSZ HOTELU.

Znane przysłowie międzynarodowe: „Pokaż mi, jak mieszkasz, a powiem ci, kim jesteś“, nie znajduje zastosowania tylko do mieszkań ludzi pojedynczych, prywatnych, ale także do tych, dziś olbrzymich gmachów, mieszczących zbiorowiska ludzkie, wielkich karawanserajów, hotelami zwanych. Ta tylko zachodzi różnica w znaczeniu sądu, jaki wysnuwa się z urządzenia hotelu, a nie mieszkania prywatnego, że z wyglądu tego ostatniego wnioskujemy o stopniu cywilizacji i kultury jego lokatora, czy też pojedynczej rodziny, gdy tymczasem organizacja hotelu daje nam miarę i sprawdzian kultury danego miasta i społeczeństwa.

Znaczenie przysłowia tego w zastosowaniu praktycznym zrozumieli właściwie i doskonale właściciele Hotelu Europejskiego, hrabiowie Przeździeccy i Pusłowscy, którzy z okazji pięćdziesięciolecia istnienia swego pierwszorzędnego domu, gwoli zadośćuczynieniu postępowi czasu i wymaganiom chwili, przekształcili dotychczasowe urządzenie i wygląd Hotelu Europejskiego do niepoznania pod względem wygody dla jego gości, estetyki umeblowania i przepychu wewnętrznego.

Nasze przysłowie rodzime mówi: „Nie odrazu Kraków zbudowany“. Sprawdziło się



W „Hallu“ hotelowym I piętra. Panie, bawiące w hotelu, przyjmują odwiedzających gości na five o'clock'u.

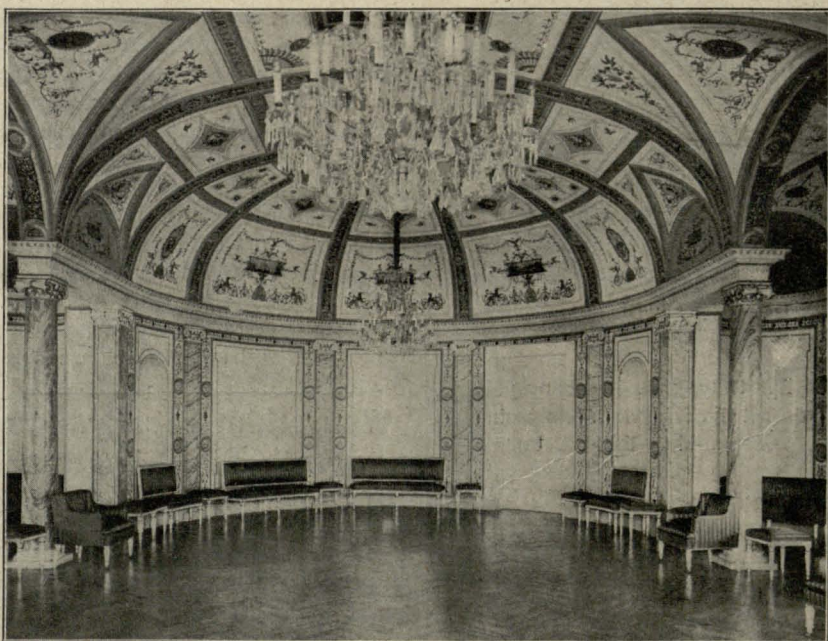
ono doskonale, właśnie na Hotelu Europejskim. W końcu XVI wieku Lubomirscy, kupiwszy dzisiejszy teren hotelowy od jednego z mieszczan warszawskich, postawili tu dwór swój, który w połowie XVIII wieku odprzedali Ogińskim.

Michał Ogiński, wielki hetman litewski, tutaj komponował słynne swoje do dziś dnia polonezy i mazury. Od Ogińskich pałac przeszedł do Puzynów, z których w roku 1804 ostatni właściciel sprzedał tę prawdziwie pańską siedzibę stolarzowi Gerlachowi. Przedsiębiorczy przemysłowiec w gmachu frontowym założył Hotel Gerlacha, gdzie mieściła się jeszcze pierwsza wystawa Towarzystwa

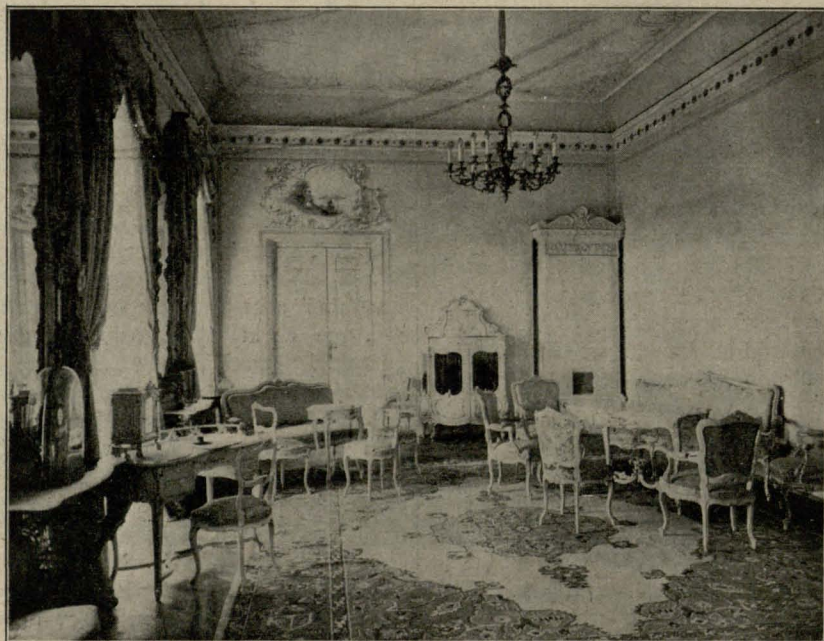
środkowało się najwięcej. Zgodnie tylko z tradycją historyczną tego miejsca zabawy, różnorodne i wielorakie przycichły wtedy tylko, kiedy serca narodu okrywały się kirem żałoby i smutku. W takich chwilach Hotel Europejski stawał się jego ławnicą, że przypomni tylko wystawienie zwłok pięciu poległych w wielkim salonie hotelowym w roku 1863, przed których prochami męczenników przesunęła się w kornym hołdzie cała Warszawa. Ale Hotel Europejski był nie tylko widownią uroczystości, zabawie i żałobie poświęconych, w jego murach zapoczątkowano i snuto także cały szereg prac i przedsięwzięć społecznych i publicznych; tu odby-

Zachęty Sztuk Pięknych. Na miejscu zburzonego w roku 1876 dawnego gmachu, budowniczy-artysta ś. p. Henryk Marconi wznosił dzisiejszy okazały czworobok Hotelu Europejskiego, mający, jak żaden inny gmach w Warszawie, punkt znakomity w samym śródmieściu, na cztery strony odsłoniiony.

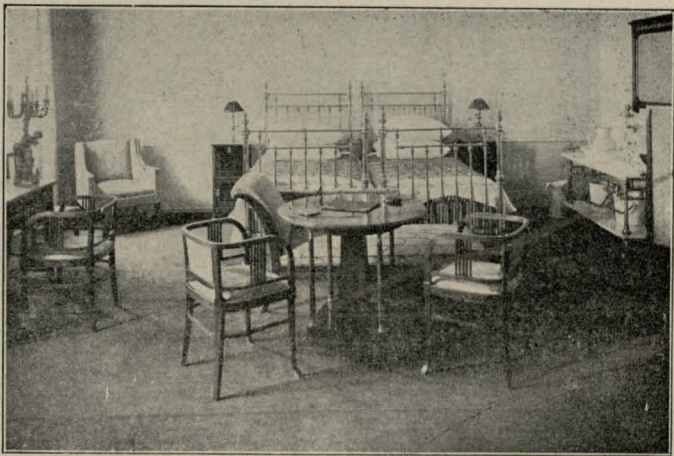
Nic dziwnego, że wzniesienie i urządzenie tak wielkiego gmachu, uposażonego w odpowiedniej wielkości nowe salony: bawialny, restauracyjny i cukierni, dało nowy impuls bardzo podówczas już ożywionemu życiu towarzyskiemu Warszawy, które istotnie w murach tych odtąd ze-



Sala balowa „Pompejańska“, malowana przez Marconiego i Strzałeckiego.



Salon w stylu Ludwika XV, biało-błękitny, godny apartamentów królewskich.



Pokój sypialny, umeblowany w stylu angielskim, należący do apartamentu.

wały się pierwsze narady ziemiańskie, pierwsze agitacje wyborcze T. K. Z., tu również przez długie lata Warszawa zapoznawała się ze sztukami pięknymi w Salonie Krywulta. Słowem, Hotel ten zajął w historii życia Warszawy niepoślednią bynajmniej kartę, zrósł się z jej dobrą i złą dolą, wzył się w jej potrzeby i nawyki, słusznie też obecnie przystosował się do znacznie posuniętych wymagań kultury i estetyki mieszkaniowej, posiadanych nie tylko przez krajowych podróżnych, ale, ito w pierwszym rzędzie, żądanych przez cudzoziemców, tak licznie obecnie przejeżdżających przez Warszawę. Zadaniu temu sprostano bardzo umiejętnie. Już główne wejście hotelowe, z okazałą marmurową klatką schodową, ozdobioną nader bogato, a bez przesady, lustrami i zielenią krzewów cieplarnianych, doskonale usposabia przybysza.

Znajdzie on pośród 240 pokoi hotelowych, umeblowanych z prawdziwie dobrym smakiem i dbałością przede wszystkim o wygodę, mieszkanie dla siebie wedle możliwości swej i na każdą cenę, od 1 rub. 50 kop. poczynsz aż do 25 rub., które hotel pobiera za salony stylowe. Jest ich w nim trzy: na pierwszym piętrze hotelowym jeden w stylu Ludwika XVI, z bogatym umeblowaniem złożonym; drugi z epoki Ludwika XV, zastawiony figlarnymi białobłękitnymi mebelkami Watteau, wreszcie trzeci salon Empire, służyć mogący za salę balową dla zabaw mniejszych.

Salony te, łącząc się z pokojami sąsiednimi, utrzymanymi w odpowiednim charakterze, tworząc całe apartamenty, godne najwybredniejszych książęcych gości. Ale nie tylko o przepychu myślano przy obecnej jubileuszowej przeróbce Hotelu Europejskiego, chodziło przede wszystkim o udogodnienie w nim pobytu każdemu, przeciętnemu nawet podróżnemu. Osiągnięto to w zupełności, dzięki rozmieszczeniu na trzech korytarzach hotelowych łazienek kąpielowych, osobnych budek telefonicznych, pokoi służbowych; dzięki zaprowadzeniu podwójnych drzwi w pokojach i zaśłaniu kurytarzy hotelowych

grubymi, puszystymi dywanami, tłumiącymi wszelki hałas zewnątrz numerów. Udogodnienia te uzupełniają: dwie windy elektryczne, sięgające najwyższego piętra hotelu, oraz obszerny „hall“ na pierwszym piętrze, stanowiący ładną i miłą poczekalnię dla odwiedzających przyjezdnych.



Hotel Europejski, widziany z Krakowskiego Przedmieścia.

Do zebrań i zabaw służy dalej pamiętająca tyle chwil wesela i radości, nie obca żadnej chyba wybitniejszej rodzinie polskiej sala balowa, pompejańska, al fresco malowana z wielkim gustem i szczerą poczuciem stylu, przez mistrzów w tym zakresie: Marconi'ego i Strzałeckiego; okna tej sali, często jaśniejąc pełnią światła w dobie wieczornej i w porze nocnej, zdają się być symbolem świecącej lepszej przyszłości Warszawy, czerpiącej do niej podjętą z przeszłości. Tak jak pierwsza ścieśle łączy się z drugą, w hotelach łączyć się musi wygoda wewnętrznego urządzenia z solidnością i wartością restauracji hotelowej, niedozownego warunku powodzenia każdego podobnego przedsięwzięcia.

W Hotelu Europejskim jego restauracja kojarzy się znakomicie z jego całym charakterem i odpowiada świetnie swojemu przeznaczeniu.

I tu także tradycja gra rolę niepoślednią.

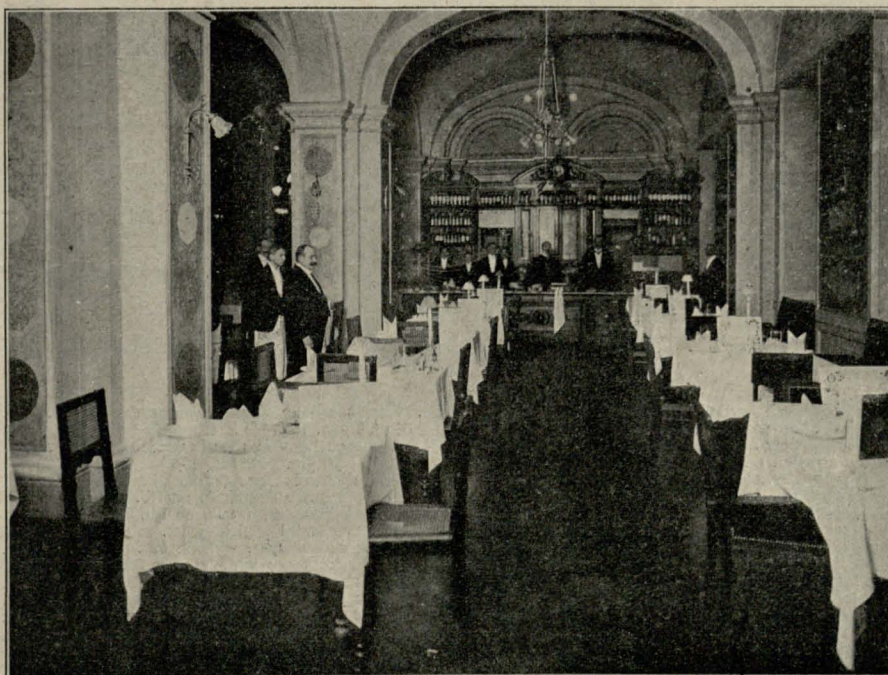
Do niedawna restauracja w „Europie“ była jedynym wielkim zakładem tego rodzaju w Warszawie, a dziś stała się jedynym bodaj również przybytkiem właściwie zrozumianej sztuki kulinarnej w zastosowaniu do higieny i kultury życia codziennego. Zawdzięcza to ona dzisiejszym właścicielom i kierownikom swoim, którzy nie tylko są utalentowanymi fachowcami, ale przede wszystkim umie-

jętymi stróżami zdrowia swoich konsumentów.

To też ci ostatni darzą stałem wyjątkowym zaufaniem i uznaniem panów Wysakowskich i Stanisława Janickiego. I nic dziwnego, kto, jak p. Józef Wysakowski, przeszedłszy szkołę paryskich recepcji u Maryi hrabiny Branickiej z Białejcerkwi, a potem u królowej hiszpańskiej Izabelli, potrafił zadowolić wymagania najsubtelniejsze wybredniów dworskiego świata, ten w Warszawie nie będzie się obawiał żadnego popisu kulinarnego. Kto, jak p. Stanisław Janicki, wychowawiec i wybraniec słynnego niegdyś w Warszawie Bocquerella, sprawował przez lat 20 szefostwo kuchni w tutejszym klubie myśliwskim i łaskotał tam sztuką swoją podniebienia najwykwintniejszych smakoszy naszego utytułowanego świata zabaw, ten śmiało stawać może do wszechświatowych konkursów i turniejów kucharskich, które w miniaturze istotnie odbywają się na stołach w restauracji Hotelu Europejskiego, zważywszy, że zasiada przy nich tylu różnorodnych i nielada wybrednych cudzoziemców. Ciągnie ich do tej restauracji nie tylko wyszukane jej menu, ale przede wszystkim atmosfera, panująca w jej salonach, czystoświatowa w najlepszym znaczeniu tego słowa. Jest to bowiem jedyna dziś restauracja, gdzie najchętniej bywają nasze panie z towarzystwa, nadające, jak wiadomo, taki urok i specjalną cechę wytworności i wdzięku każdemu liczniejszemu zebraniu. Zebrania te odbywają się w „Europie“ codziennie w porze śniadań, obiadów i wieczerzy. Wyszukany smak potraw łączy się z wytwornością zastawy stołowej i ich podania, a miły, dyskretny gwar rozmów harmonizuje z dźwiękami muzyki pokojowej, akompaniującej tutaj biesiadom w artystycznym zespole.

Wśród tych bywalców Hotelu Europejskiego niewątpliwie i niejednokrotnie usłyszymy taką opinię:

— „Jednakże i pięćdziesiąt lat istnienia nawet hotelu i restauracji ma niemałe znaczenie w dorobku kultury wielkomiejskiej.“ *Stały Bywalec.*



Sala jadalna restauracji Hotelu Europejskiego z bufetem.

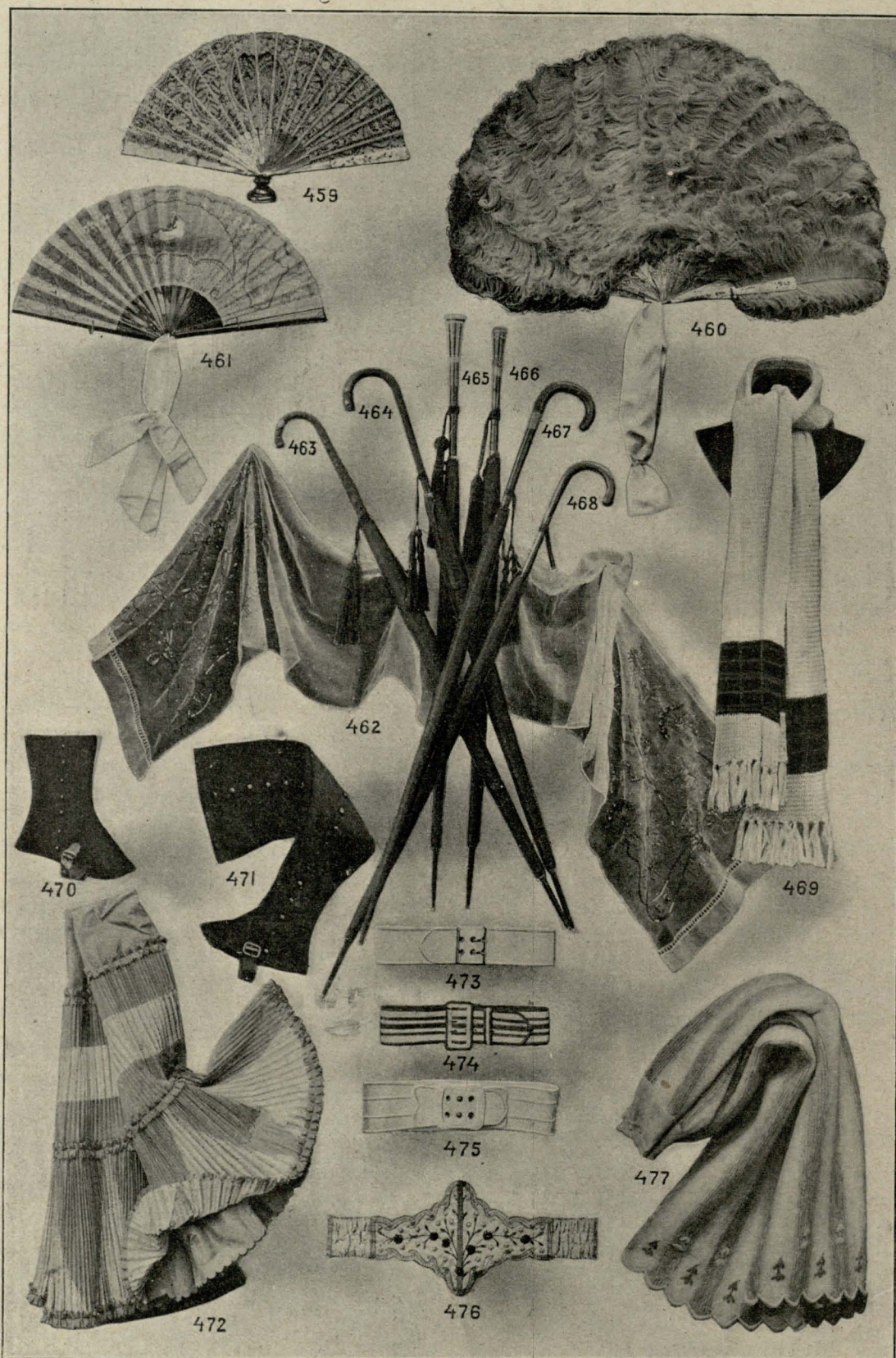
BOGUSŁAW HERSE

POLECA
przed GWIAZDKĄ

WYKWINTNE
PRAKTYCZNE
UPOMINKI.

WARSZAWA
MARSZAŁKOWSKA 150

Adres telegraficzny:
HERSE-WARSZAWA
Telefony: 15-30
82-30

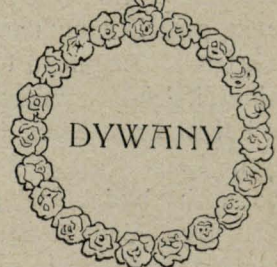


SUKNIE
KOSTIUMY
OKRYCIA
KAPELUSZE
BLUZKI
NEGLIŻE

WEŁNY
JEDWABIE
AKSAMITY
KORONKI
WSTAŻKI
PRZYBRANIA



FUTRA



DYWANY

- | | | | |
|---|----------|--|----------|
| 459. Wachlarz z prawdziwych koronek „Duchesse” | Rb. 35.— | 470. Kamasze damskie sukienne czarne | Rb. 4.50 |
| Wachlarze z prawdz. koronek od Rb. 28 do Rb. 350 | | Dług. 8 guz. Rb. 4.50. Dług 12 guz. Rb. 5.50 | |
| 460. Wachlarz z piór strusich | Rb. 35.— | 471. Kamasze damskie Jersey czarne | Rb. 4.75 |
| Wachlarze z piór strusich od Rb. 13 do Rb. 180 | | Długość 20 guzików Rb. 4.75 | |
| 461. Wachlarz gazowy w szyldkrecie | Rb. 18.— | 472. Halka jedwabna z wolantem plisowanym | Rb. 24.— |
| Wachlarze gazowe od Rb. 1.50 do Rb. 125 | | Halki alpagowe i morowe od Rb. 4.50 | |
| 462. Szal gazowy pająkowy strojny | Rb. 7.50 | Halki jedwabne od Rb. 9.75 do Rb. 60.— | |
| Szale gazowe, jedw i koronek od Rb. 4.50 do Rb. 125.— | | NOWOŚĆ: Halki „Soleil” jedw. miękkie od Rb. 14 do Rb. 40 | |
| 463. Parasol półjedwabny bardzo trwały | Rb. 4.50 | 463. Pasek skórkowy b. wykwintny | Rb. 3.75 |
| 464. Parasol półjedwabny z ozdobną rączką | Rb. 5.50 | 474. Pasek skórkowy fantazyjny w 2 kolory | Rb. 2.75 |
| 465. Parasol jedwabny z ozd. rączką | Rb. 8.— | 475. Pasek skórkowy zaszywany, ozdobny | Rb. 2.50 |
| 466. Parasol jedwabny cienko zwijany | Rb. 6.75 | 476. Pasek jedwabny bogato wyszowany | Rb. 4.75 |
| 467. Parasol jedwabny z piękną rączką | Rb. 10.— | 477. Halka Laine des Pyrenees w najlep. gatunku | Rb. 5.50 |
| 468. Parasol jedwabny angielski | Rb. 16.— | „Laines des Pyrenees”: Matinki od Rb. 8.— | |
| Parasole angielskie ozdobne do Rb. 48. | | Szalfroki od Rb. 17.50. | |

Torebki i paski damskie grzebienie
i szpilki do upinania damskich fryzur, grzebienie do
czesania, szczotki do sukien, włosów,
lusterka, perfumy, mydła, wody do pielęgnowania zębów
 i włosów poleca

STEFAN POREBSKI

Kraków, Rynek 32, linia C-D

C-SKORYNAJSKA FABRYKA MASZYN
 I KAMIENI MŁYŃSKICH
 WARSZAWA-PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE.
 OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i t. p.

Nowe maszyny
 DO BIELENIA I DEZYNFEKCJI
„APOLLO“
 nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieod-
 zowne w każdym gospodarstwie.
PASY SKÓRZANE
 oryginalne angielskie w najlepszych
 gatunkach, poleca
ALFRED GRODZKI
 Warszawa, 33, Senatorska.

NARZĘDZIA LEKARSKIE,
 ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE,
 WYROBY NOŻOWNICZE
Bronisław Krug
 Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.
 Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.



Żądać wszędzie z antiołem.

MEBLE

ZALEŃSKI i S-ka

Warszawa, Erywańska Nr 2,
 parter, 1-sze i 2-gie piętro.
 Rok założenia 1870. Telefon 16.39.

Denaturowany spirytus.
 Spirytus stały w puszkach,
 spirytusowe lampy, palniki,
 kuchenki, żelazka i t. p.
B. CIA WIŚNIEWSKI i S-ka
 Foksal 13, Telefon 3039.

SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).
 Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprze-
 daż obrazów najznakomitszych artystów
 polskich. Salon otwarty codziennie od 10
 do 1 i od 2 do 5.

JULIUSZ SŁOWACKI PISMA

wydane za życia i po śmierci
 autora,
 w układzie D-ra Artura Górskiego
 6 tomów (przeszło 3,500 stron druku)
 rub. 6, w opr. rub. 8.
 Ukażą się w początku Grudnia r. b.
 Nakład G. GEBETHNERA i S-ki
 w Krakowie.



Słynna ze swych własno-
 ści aromatycznych, właści-
 wych substancjom roślin-
 nym, służącym do jej przy-
 gotowania.

DO NABYCIA WSZĘDZIE.

**LUDWIK SZUFA
KRAWIEC**
 KRAKOW TELEFON 671

Koncesjonowana przez c. k. Namiestnictwo
SZKOŁA MALARSTWA
 (DLA MĘŻCZYZN I KOBIET)
Leonarda Stroynowskiego
 W KRAKOWIE.
Gołębia Nr 14.

**J. GOŁEMBIOWSKI
ZEGARMISTRZ**
Marszałkowska 111

egzystuje od 1880 roku.
 Magazyn zawsze zaopatrzonej w pierwszo-
 rzędny towar. Ceny niskie. Gwarancya
 poważna.

FORTEPIANY,
 PIANINA, PIANOLE,
 ORGANY,
 MELODYKONY



GEBETHNER i WOLFF
 Warszawa, Krak.-Przed. 17

KSIĘGARNIA
GEBETHNERA i WOLFFA
 w Warszawie

poleca:
WYBÓR POEZJI
 ARTURA OPPMANA (OR-OTA)
 wydanie nowe zmienione i po-
 większone, z portretem autora.
 Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.
 Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa
 pośredniczą
 w prenumeracie pism
 krajowych i zagranicznych
 po cenach redakcyjnych.

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI *Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny*

BLUSZCZ

Największe i najpoczytniejsze pismo tygodniowe
dla kobiet, literacko-społeczne, ilustrowane,
 pomieszcza prace pierwszorzędných sił literackich.

Artykuły wstępne,
 oraz artykuły treści społecznej,
 omawiające chwilę bieżącą
 i poruszające najżywo-
 tniejsze sprawy dotyczące kobiet.
Powieści.— Nowele.

Bluszcz w r. 1909 drukować będzie powieści:
Hekuba (1863) Elizy Orzeszkowej
RZĄDY ŚWIATA
 Kazimierza TETMAJERA

DZIAŁ KOSMETYKI
 zawiera rady i wskazówki za-
 chowania higieny piękności.

Prenumeratę naj-
 lepiej przysłać pod
 adresem: Administracja „BLUSZ-
 CZU” Warszawa, Nowy-Świat 41.
 Prenumerata „BLUSZCZU” wynosi:
 w Warszawie: kwart. rb. 1.80, półr.
 rb. 3.60, roczne rb. 7.20. W Cesar-
 stwie i na prowincji: kwartalnie rb.
 2.50; półrocz. rb. 5; rocznie rb. 10.

Numery okazowe wysyłamy na
 żądanie franco i gratis.

Odrębną część
 pisma stanowi **DZIAŁ MÓD**

Jedyny i najobszerniejszy ze wszystkich pism polskich,
 który zawiera rocznie przeszło 4,000 rysunków najwięz-
 szych modeli paryskich: sukien, okryć i kapeluszy damskich. —
 Osobne dodatki z ubraniami dziecięcymi. — Bielizna. — Wzory robót
 kobiecych, jak: hafty, gipury, monogramy, roboty szydełkowe i t. p.

Niezależnie od powyższego działu „Bluszcz” dodaje
26 wielkich tablic krojów,
 DAJĄCYCH MOŻNOŚĆ WY-
 KONYWANIA RÓŻNYCH
 UBIORÓW W DOMU.

Dodatki poświęcone łączności kół kobiecych na ziemiach polskich.

Dział gospodarstwa domowego. Przepisy kulinarne i t. p.

DODATKI KSIĄŻKOWE w arkuszach, zawierają Powieści i no-
 wele znakomitych autorów obcych.

VENUS puder uznany na wystawach higienicznych za najlepszy i nieszkodliwy. **KONSERWATOR** wzmacnia włosy, powstrzymuje wypadanie takowych, pobudza do porostu, usuwa łupież i mikroby 80, 1.25 i 2 rub, 40 kop. **AGATOL** proszek i eliksir do ZĘBÓW z silnym aromatem, najlepsze z dotychczas znanych.

Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34.

MIŁUJĄCYM ZDROWIE! poleca: **Okulary i Binokle** z najlepszymi szkłami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, **Mikrofony** dla głuchych, **Oliwa** usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, **Bandażę elektryczną** usuwającą rupturę, nie krępującą ruchów od rb. 6, **Przepaski higieniczne** Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów **w dobrym gatunku.** Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w zakładzie **Michała Pik, Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.**

Opuścić prasę **KALENDARZ ROLNICZY**
Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem na rok 1909, pod redakcją prof. A. Sempołowskiego, A. Wieniawskiego i Wł. Wilczyńskiego Rok I. Część I i II. Cena rub. 1.25.
Do nabycia w księgarni GEBETHNERA I WOLFFA w Warszawie.

ZABAWKI

Gry salonowe. **Kotylionowe** przybory. **Witraże** do okien. **Filtry** do wody. **Nowości** paryskie. Katalogi franco.
MAGAZYN FRANCUSKI (BERGA 8).

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

Znane ze swej dobroci rękawiczki kosmetyczne na czerwone z odmrożenia rące, od rub. 2.50, poleca **Perfumerya W. PASZKOWSKIEGO, Marszałkowska 109.**

E. UNIERZYSKI
CHMIELNA Nr 3
poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.

PASTILLES DE **TAMAR INDIEN GRILLON**

Owoc przeczyszczający PRZECIWO **OBSTRUKCYI**

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.
We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

POLECAMY NA ŚWIĘTA **KONIAK FRANCUSKI**

B. Léon Croizet

Z WŁASNYCH WINNIC

czysty, zdrowy, wykwintny w smaku

Skład główny **NACHTLICHT & KAMIEŃSKI Warszawa, Tłomackie 1.**



ULEPSZONE GRAMOFONY ORAZ PŁYTY DWUSTRONNE NOWEGO NAGRANIA POLECA

Skład Instrumentów Muzycznych B. RUDZKIEGO

Warszawa, Marszałkowska 87. Cenniki i spisy płyt bezpłatnie.

ZABAWKI i gry pedagogiczne, slöid, freblowszczyznę, przybory szkolne, papeterie **DZIAŁ TANICH ZABAWEK M. NOWOLECKA, Krucza Nr 43.**

JÓZEF FRAGET

FABRYKA **WYROBÓW PLATEROWANYCH I SREBRNYCH 84-ej PRÓBY**
Warszawa, Elektoralna 753/16.

SKŁADY:
Wierzbowa 8. Nalewki 16.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9, Nowy-Świat Nr 49, Sienna Nr 2a, Leszno Nr 4, Długa Nr 19, Chłodna Nr 18, Dzika Nr 7, Praga Brukowa Nr 32.
Filie: Łódź, Zielona Nr 5. Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Zadanie, mające za cel wywołanie porostu włosów, pozostało dotychczas nierozwiązane, pomimo poważnej i opartej na zasadach naukowych pracy w tym kierunku. A jednak są pewne pomyślnie wyniki w tej mierze. Nie uiega bowiem wątpliwości, że można spowodować

porost włosów

jeśli istnieje jeszcze t. zw. cebulka. Chodzi tylko o środek wzmacniający, czyszczący skórę i usuwający łupież. Te właśnie zalety posiada **mydło „Tataro-Chmielowe“**, wyrabiane w „Centralnym Laboratorium Chemicznem“ (Czekay i Krysiwicz) w Warszawie.
Sprzedaż w składach aptecznych.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.

HOTEL SAVOY W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT
Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.

Najlepsza Pasta do Obuwia **„INTRYGANT”** H. Trembińskiego żądać wszędzie

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn **Krakowskie Przedmieście № 15** dom Hrabiego J, Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych, nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Płotra Laskauera i S-ki, Warszawa

w Warszawie, Skład maszyn i potrzeb mleczarskich. Biuro te. hniczo-mleczarskie. Artykuły hodowlane, gniotowniki do owsa, żyta i ięczmienia. Szatkownice do jarzyn. Maszyny do bieleńia i dezynfekcyi KRAJ.-PRZEM. 7 i t. p. Przedstawiciele firm: Sveasparatoru—Stokholm. Simona-Fréres—Cherbourg, Chr. Hausen—Copenhaga i t. d. Sprzedają i zakup masła. Katalog bezpłatnie. Michał Jasiński i S-ka Tel. 18-32.